



Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

# Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 23

ISSN 2080-024X

czerwiec 2015 rok



dodatek specjalny do miesięcznika

[www.tpzk.pl](http://www.tpzk.pl)

„Wieści znad Orzyca” Nr 6(98)

[www.naszkrasnosielc.tpzk.pl](http://www.naszkrasnosielc.tpzk.pl)

## Wprowadzenie

*Szanowny Czytelniku!*

Władysław Kocot poprzez swoje dokonania oraz sposób ich utrwalenia to niezwykle syn Ziemi Makowskiej. Urodzony w roku 1900 w Szczeglinie Poduchownym na terenie gminy Sypniewo, zaznaczył swoją edukacyjno-społecznikowską obecność w sąsiedniej gminie Płoniawy-Bramura, skąd pochodziła jego żona Genowefa. Jednak prawie całe dalsze życie mieszkał i pracował w Drażdżewie gmina Krasnosielc.

Pilny uczeń pochodzący z rodziny chłopskiej ukończył jako jeden z pierwszych Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Pułtusk. W trakcie tej nauki żołnierz ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej roku 1920. W okresie międzywojennym wspaniały nauczyciel i społecznik. Żołnierz kampanii wrześniowej w 1939 roku, w niewoli niemieckiej przetrzymywany przez całą wojnę. W 1945 r. tworzy w zasadzie od podstaw szkolnictwo w Drażdżewie.

Czytając wspomnienia Władysława Kocota z wojny 1920 roku „Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945” opublikowane przez Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, Oddział w Pułtusk, rękoma Radosława Lolo i Krzysztofa Wiśniewskiego, odczuwa się podziw za wręcz ideowy patriotyzm, szczerłość i prawdę.

Zwyczajowo proszę Czytelników o pomoc w finansowaniu jedyne koszty tej i pozostałych publikacji - jakim jest druk. Wpłaty proszę kierować na konto Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

*Z poważaniem*  
Redaktor Wydania - Sławomir Rutkowski

Niniejszy numer Krasnosielckich Zeszytów Historycznych ukazał się drukiem dzięki darowiźnie Pani Donaty Kocot-Bończak - córki Władysława, która podjęła wiele starań by wyjątkowy spadek dokonań i wyjątkowych dokumentów po swoim ojcu utrwalić w pamięci Polaków. Zeszyt ten jest również współfinansowany ze środków Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem „Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych”.



## Pamiętnik z roku 1920

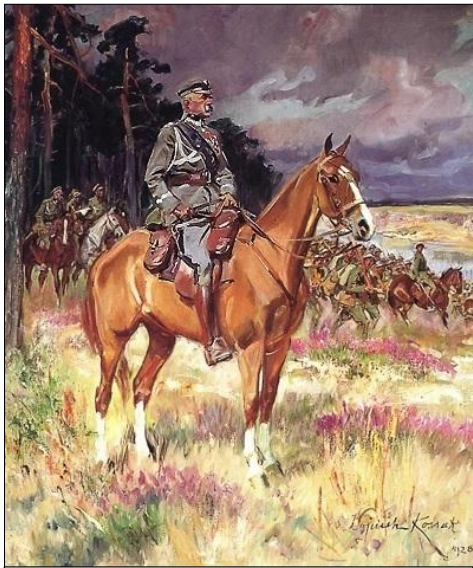


*Władysław KOCOT*

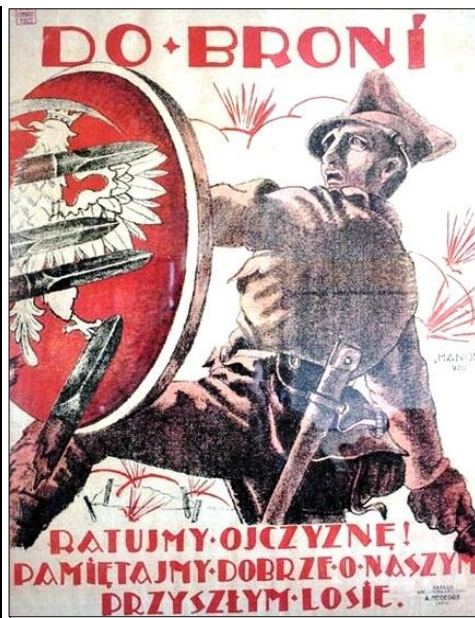


# Wakacje

Po skończonym roku szkolnym 1919/1920 z nadejściem wakacji, mając promocję na kurs III. Państwowego Seminarium Nauczycielskiego, wróciłem do rodzinnej wioski Szczeglińska Poduchownego gm. Sypniewo, pow. Maków

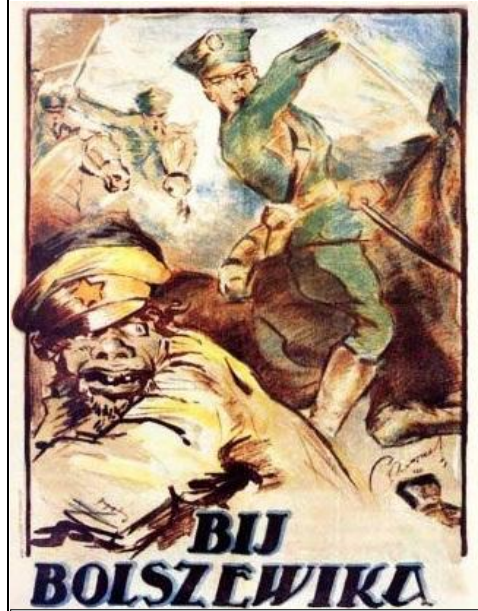


Wojciech Kossak, Marszałek Józef Piłsudski na Kasztance. 1928. Olej na płótnie. Muzeum Narodowe . Warszawa.



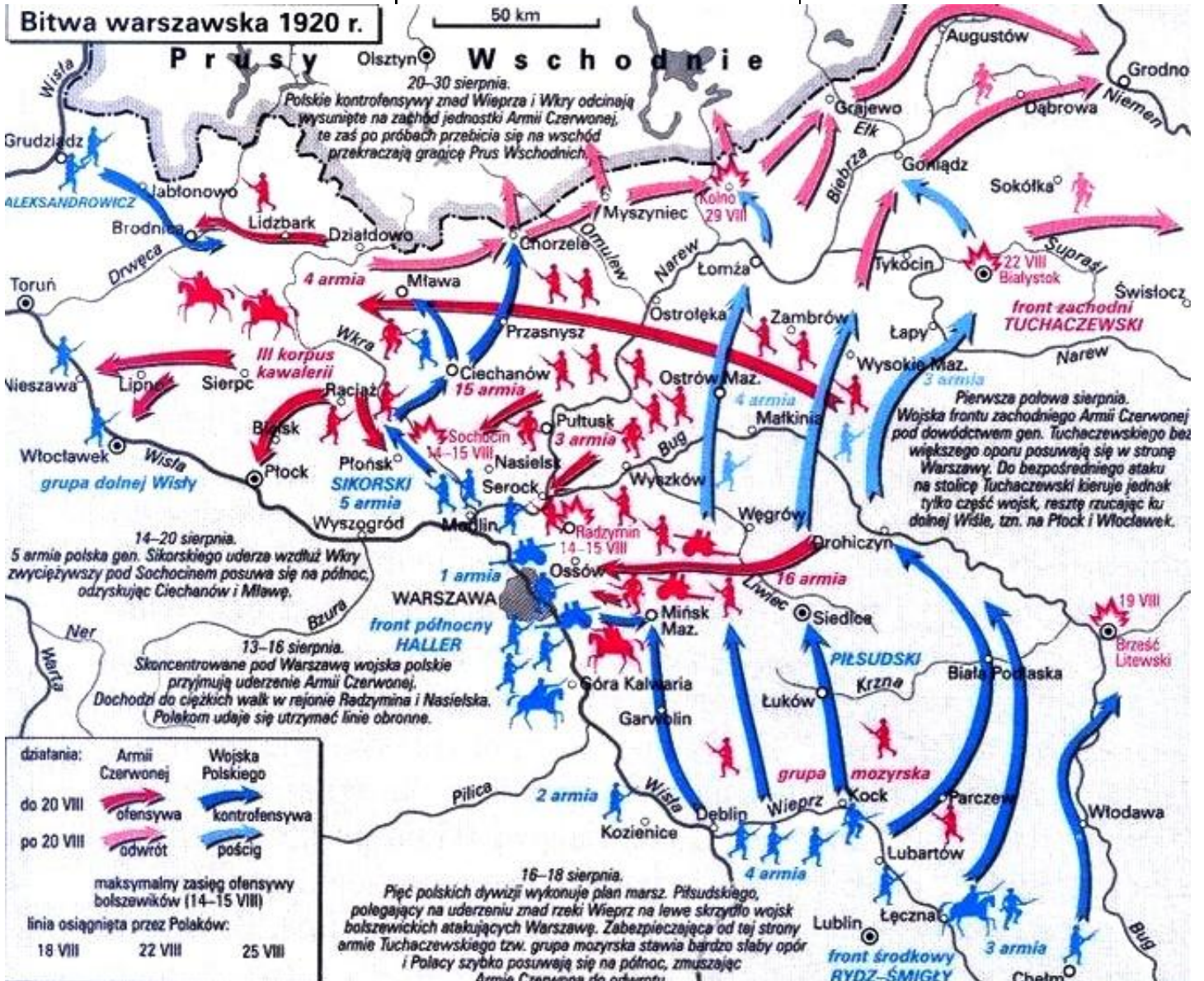
Polski plakat rekrutacyjny z 1920 roku.

Mazowiecki i zacząłem spędzać zasłużony wypoczynek. Zabrałem się do pracy fizycznej i pomagałem jak dawniej rodzicom i rodzeństwu około gospodarstwa domowego i w polu. Dni płynęły mi spokojnie, beztrudnie i wesoło wśród swoich domowników, sąsiadów, rówieśników, znanych drzew, łąk, pól i całej w tym czasie cudnej przyrody. Cisze



Polski plakat propagandowy z 1920 roku.

te i radość życia wiejskiego jednak czasami przerywały złowrogie wieści nadeszłe z pola walki od wschodu Rzeczypospolitej, gdzie dzielne wojska polskie mężnie walczyły pod wodzą swego ukochanego „Dziadka”-Józefa Piłsudskiego, z rosyjskimi bolszewikami – komunistami.



Wiadomości z frontu były dla mnie i mojej rodziny tym ważniejsze, że w Legionach polskich na froncie, tam gdzie za Lidą<sup>1</sup> mieliśmy dwóch braci w 6 pp, 8 kompania. Rodzony brat Franciszek Kocot i stryjeczny Wincenty Kocot. Obaj bracia byli z rocznika 1898 i poszli do wojska polskiego za pierwszym poborem po uzyskaniu niepodległości państwa polskiego. Lękaliśmy się o ich życie. A tu wieści ustne i przez prasę nadchodziły z każdym dniem groźniejsze o niezwyrodnionych hordach bolszewickich i o ich okrucieństwach. W odpowiedzi cały naród polski stanął pod rozkazami swego ukochanego Komendanta Józefa Piłsudskiego, aby bronić nowopowstałej ukochanej Ojczyzny. Po miastach i wioskach pisało na murach domów, chodnikach i rozbrzmiewało w powietrzu jedno tylko wołanie: „Wstąp do wojska”! „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”. Wieśniacy, mimo czaru przyrody wakacyjnej, grabili siano i koniczyny w zadumie i posępni, bo nie pewni, czy te zbiory skarmią własnym dobytkiem. A może pracują na próżno, może wszystko pójdzie z dymem? Wszak wojna!

Pod takim wrażeniem i w rozmowie o wojnie polsko-bolszewickiej w dniu 14 lipca 1920 r. po południu w polu grabiłem przelot nasienny z ojcem i siostrą Franciszką. Wtem sąsiadów dróżką (Klików) jechał rowerem uczeń gimnazjum pułtuskiego, a mój kolega Jan Gosiewski z Drążdzewy Folwark<sup>2</sup> gm. Krasnosielc. Spotkaliśmy się. Rozmawialiśmy krótko. Oświadczył mi, że celowo skręcił przez Szczeglin Poduchowny, to jest przez moją wieś, żeby mnie powiadomić, że starsi uczniowie gimnazjum i seminarium idą na ochotnika do wojska na bolszewików. My jako harcerze drużyn pułtuskich mamy pójść razem. Pojutrze rano dnia 16 lipca 1920 roku wymarsz z Pułtuszka do Warszawy. To rzekłszy, pożegnał się i pojechał do Drążdzewy na pożegnanie z rodziną. Wróciłem grabić przelot. Robota już mi tak nie szła. Rozmyślałem, jak mam załatwić z rodzicami, żeby Ci zezwolili mi pójść na ochotnika do wojska.

Postanowiłem nie mówić prawdy. Toteż na zapytania ojca, „kto to był na rowerze i czego chciał ode mnie” odpowiedziałem, że kolega zawiadomił mnie o zbiórce skautowskiej, która pojutrze, to jest 16 lipca o godz. 8 rano odbędzie się w Pułtusk. Jednocześnie oświadczyłem przy siostrze, że stanowczo muszę jechać, bo będzie trzydniowa wycieczka. Dzień piętnasty lipca jako dzień moich urodzin spędziłem jeszcze w domu na przygotowywaniu się w podróż. Rodzina się wiele nie sprzeciwiała mojemu wyjazdowi, bo była pewna, że po trzydniowej wycieczce harcerskiej wrócę do domu. Jedna moja matka przeczuła sercem, że coś ukrywam. Dziwiła się dlaczego na trzy dni zabieram zaraz duże szczotki, bielizny trzy pary, dwa ręczniki,

<sup>1</sup> Miasto obecnie na Białorusi, ok. 70 km na południe od Wilna, ok. 110 km na wschód od Grodna. Założone w 1323 r. przez Gedymina, dziś stolica rejonu. Liczy ok. 100 tys. mieszkańców, z czego 35% stanowią Polacy.

<sup>2</sup> Wieś nad Orzycem, w gm. Krasnosielc w pow. Maków Mazowiecki. W. Kocot konsekwentnie odmienia nazwę „Drążdzewo” według form rodzaju żeńskiego, tj. Drążdzewy, Drążdzewie itd.



II kurs Preparandy, 11 czerwca 1918 r. Władysław Kocot siedzi pierwszy z prawej. Źródło: „Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945”. Pułtusk 2009.

mydło i inne drobiazgi, pełen plecak. Odgadła moje zamiary i skrycie popłakiwała. Jednak przeszkód nie robiła. Sama wszystko poszykowała i pytała się wciąż: „Co ci jeszcze będzie potrzebne na tej wycieczce?” Na szykowaniu upłynął dzień. Wcześniej położyłem się spać.

Na drugi dzień, to jest 16 lipca o godz. 5 po północy, pożegnawszy się z ukochaną matką i rodzeństwem, wyruszyłem z domu z ojcem własną furmanką do Pułtuszka, aby tam stawić się na rozkaz „Miejscowej Komendy”. Weszły czwartek było zebranie uczennic i uczniów Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Pułtusk i postanowiono, abyśmy jako ochotnicy wstępowali do wojska. Pomimo nieobecności grona nauczycielskiego podówczas w Pułtusk, zebranie słuchaczy postanowiło: „wszyscy chłopcy zdolni do noszenia broni mają niezwłocznie wstąpić do szeregów, a szkoła ma być czynną dopiero po naszym powrocie”. Nie mogłem pozostać obojętnym na takie wezwanie. Jadę. Na furmance kombinuję, jak będzie najlepiej oznajmić ojcu o moim prawdziwym zamiarze. Przecież muszę, choć w ostatniej chwili przyznać się ojcu, że naprawdę jadę na ochotnika do wojska polskiego, a nie na wycieczkę harcerską.

W Szelkowie<sup>3</sup> zagadnąłem ojca, że może się wróci do domu. Dalej pójdę piechotą. Na to otrzymałem odpowiedź: Jeszcze się należysz. Podwieżę cię jeszcze z kawalek”. Takie pytanie powtórzyłem jeszcze kilka razy, na które znów otrzymywałem powyższą odpowiedź. Jechaliśmy dalej, aż do wsi Boby<sup>4</sup>. Z dała od wioski zatrzymała się fura (na skrócie szosy).

Daliśmy koniom jeść i sami wzięliśmy się za śniadanie. Godzina była 9 rano. Jedliśmy czarny, razowy chleb z jajkami gotowanymi na

<sup>3</sup> Wieś gminna w powiecie makowskim, położona w odległości ok. 10 km od Makowa i ok. 20 km od Pułtuszka, przy drodze Pułtusk - Ostrołęka.

<sup>4</sup> Wieś w gm. Pułtusk, położona przy drodze Pułtusk - Ostrołęka, w odległości ok. 10 km od Pułtuszka.

twardo. Odpoczynek się skończył. Mając plecak na wozie, a w nim wszystko potrzebne do drogi, za jednym tchem wypowiedziałem ojcu: ja nie na wycieczkę harcerską idę i nie na trzy dni, ale idę do wojska polskiego na ochotnika”. Ojciec się rozgniewał. Zaczął krzyżeć, wymyślać mi i nie dokończywszy jeść chleba, szykuje konie, zawraca i rozkazuje mi siadać na wóz i jechać do domu. Ja nic nie mówię, tylko stoję i słucham, aż się ojciec wykrzyczy i uspokoi. Takie podejście z mojej strony było dobre. Ojciec powoli się uspokoił. Już nie krzychał potem, ale tłumaczył, że może na śmierć idę dobrowolnie, więc prosił abym wracał. Namówić się nie dałem. „Muszę iść do Pułtuszka” odpowiedziałem. Ojciec, widząc moje mocne postanowienie, narzekał tylko, że na stare lata wyprowadził go w pole, bo do swojej biedy jeszcze mię sam wywiózł pod Pułtusk. Jednak za wszystko przeprosiłem ojca i rozstaliśmy się bardzo dobrze. Na odjeździe przy rozstaniu się prosiłem jeszcze ojca, żeby na razie nie mówił prawdy matce i rodzeństwu. Zresztą ja sam jeszcze nie byłem pewny czy zostanę przyjęty do wojska, gdyż byłem małego wzrostu. Po rozstaniu się z ojcem doznałem dziwnego uczucia. Zrobiło mi się żal ojca, matki i wszystkich, co porzucałem dobrowolnie. Stale oglądałem się poza siebie i patrzyłem jak daleko ujechał ojciec. Było mi smutno samemu. Jednak na myśl, że w Pułtusk mogą czekać na mnie, albo mogą się spóźnić i zostać, przyspieszyłem kroku.

Po przybyciu do Pułtuszka zaraz zgłosiłem się do Komitetu i otrzymałem jeszcze tego dnia, to jest 16 lipca 1920 roku: mydło, bieliznę, chleb, chusteczkę do nosa, suchary i inne drobiazgi, które miały mi służyć w pierwszych chwilach naszego pobytu w wojsku. W sobotę po Mszy Świętej, która odbyła się w kościele farnym<sup>5</sup>, ruszył nasz oddział szkolny z orkiestrą na czele do statku. Za nami zaś ludność Pułtuszka. Mile i serdecznie byliśmy żegnani przez publiczność i obsypywani kwiatami. Statkiem zajechaliśmy

<sup>5</sup> Kolegiata pw. Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny.

do Zegrza<sup>6</sup>, a później kolejną do Warszawy, gdzie zatrzymano nas w Cytadeli.

W koszarach spałem wysoko na pryczy. Śmiać mi się chciało z takiego łóżka. Wkrótce przyzwyczałem się do niego. A że przypadła mi w udziale sala na drugim piętrze, przeto z niej, a zwłaszcza z wysokiej pryczy miałem precudny widok na Wisłę. Na jej widok z piersi wyrwał się mimowolny okrzyk: Wisła! Modra Wisła! Królowa rzek Polski! Zobaczyłem ją pierwszy raz i wydała mi się bardzo bliską i majestatycznie piękną! Widok jej przywołał mi na pamięć wszystkie wierszyki o niej, poznane w szkole. Wszystkie piosenki śpiewane o Wiśle i podania, aż do królowy Wandy! Z takimi myślami zasnąłem późną nocą. W niedzielę, to jest 17 lipca w liczbie pięciu kompanii ochotników udaliśmy się na Plac Saski i tu się odbył przegląd przez generała Hallera Józefa<sup>7</sup>. Po skończonym nabożeństwie i po defiladzie wróciliśmy do Cytadeli, gdzie nas stałe dzielono na oddziały, poczem wysyłano na front.

W poniedziałek, to jest 18 lipca musieliśmy stawić się w biurze Cytadeli na komisję wojskową przy 21 pp, kto jest zdolny do noszenia broni. Jednocześnie komisja wymagała od nas, abyśmy przedłożyli jej na piśmie zezwolenie rodziców, jako że się zgadzają, aby syn wstąpił do wojska na ochotnika. Ponieważ byliśmy wszyscy prawie nieletni, a nikt z nas podobnego zaświadczenia nie miał, więc wpadliśmy na pomysł i jeden drugiemu takie zaświadczenie pisał. Okazały się dobre. Mnie napisał kolega i sąsiad z wioski Zygmunt Krupiński, a ja Jemu. W ten sposób ostatecznie byliśmy żołnierzami-ochotnikami wojska polskiego. Dnia 19 lipca otrzymaliśmy umundurowanie i broń. Otrzymałem mundur i spodnie wełniane, kamasze, owijacze, czapkę maciejówkę, pas parciany i bieliznę. Wszystko nowe. Do munduru przypięto kokardkę ochotniczą i krzyż harcercy III-go stopnia.

Przez pierwsze kilka dni nie było nam wolno wychodzić poza Cytadelę. Dopiero dnia 26 lipca otrzymałem pierwszą przepustkę na Warszawę. Natychmiast udałem się z kolegami z seminarium do pani nauczycielki Antoniny Zubelewicz, która na przechadzce zapoznawała nas z Warszawą. Byliśmy w Łazienkach, Ogrodzie Botanicznym, na moście Kierbedzia i Poniatowskiego. Dzień 27 lipca zszedł mi na ćwiczeniach w Cytadeli. Dnia 28 lipca we wtorek już od samego rana w kompanii mojej panował jakiś dziwny nastrój. Dowódcy robili ciągle spisy ludzi. Tego dnia wypadł mój dyżur, a ponieważ nie byłem na ćwiczeniach (bo dyżurny, czyli służbowy jest wolny od ćwiczeń), więc nie mogłem na razie zorientować się, o co właściwie rzecz idzie. Jednak przeczułem, że na pewno zostaniemy podzieleni na kategorie, które zadecydują do jakiej broni mamy należeć.

Tak też i było. Moja 4-ta kompania wyszła z Cytadeli i udała się na Polną, gdzie zostaliśmy zakwaterowani w budynku szkolnym Staszica. Tu zaciągnięto nas do ksiąg



Od lewej: Waclaw Makoć, Wincenty Kocot, Władysław Kocot w Cytadeli warszawskiej, 7 sierpnia 1920 r.

ewidencyjnych, co zajęło czasu do 2 godz. po północy. Spałszy tylko do 4 godziny rano. Wszystkiego dwie godziny. Dnia 29 lipca, w środę nic nie jedliśmy do wieczora i dopiero w nocy podano zupełne za śniadanie, obiad i kolację na ulicy Nowowiejskiej. Po tej uczcie wrócono nas znów do Cytadeli. Dnia 30 lipca spotkałem się z bratem stryjczym Wickiem, żołnierzem, z którym już się nie widziałem od półtora roku. Toteż ucieszyłem się bardzo! Rozmawialiśmy na dziedzińcu Cytadeli długo. Od niego dowiedziałem się, że od maja do 1-go sierpnia bolszewicy posunęli się od Kijowa i 1920 r. włącznie.

Ważniejszych wrażeń, prócz życia koszarowego, nie doznałem, chyba to, że przez trzy dni byłem chory na lewe ucho i leżałem na izbie chorych. Miałem wielki ból w uchu, omal nie płakałem. Przez kilka dni pisałem się do lekarza i stawałem do raportu. Ponieważ śladów choroby w uchu nie było widać i gorączki nie miałem, to i doktor nie brał mnie na izbę chorych. Kiedy już mię przyjął dzięki mojemu natręctwu (bo tak bardzo bolało), to znów nic nie leczył, a wreszcie po trzech dniach wrócił mię do kompanii. Choroba ucha jakoś mi sama przeszła. Stwierdziłem, że dla wojskowego lekarza ten tylko jest chory, kto ma ranę lub gorączkę. Reszta to łaziki, dekarze i nabieracze, dla których nie mają litości.

Po trzydniowym pobycie na izbie chorych to jest 10, 11 i 12 sierpnia 1920 roku, gdy niby już wyzdrowiałem, zaraz zostałem przydzielony do szkoły podoficerskiej przy 21 pp. Dnia 13 sierpnia miałem ze szkołą wyjechać do Poznania. Czekaliśmy na pociąg. Wszystko było gotowe do wyjazdu. Było już pod wieczór. Wyszedłem jeszcze za czemś na plac ćwiczeń i mimo woli spotkałem swojego kolegę szkolnego Zdzisława Olkowskiego z Pułtusk. Ponieważ od dłuższego czasu nie widzieliśmy się obaj, więc witaliśmy się mile, wypytyując jeden drugiego o powodzenie i przeżycia, tak iż w przeciągu kilku minut powiedzieliśmy sobie zdaje się wszystko! Lecz niestety, jak na początku spotkania była nagła radość, tak za kilka chwilek naszej rozmowy zjawiała się nagle wzajemna nienawiść. Wynikało to z tego: kol. Zdzisław Olkowski odchodził już na front, a tymczasem ja, będąc

przydzielony do kompanii odjeżdżającej do szkoły podoficerskiej, miałem jeszcze tego wieczoru wyjechać ze szkołą do Poznania, a więc z dala od frontu. Za to więc, że wyjeżdżam do Poznania nazwany byłem przez niego łazikiem, dekarzem. Co więcej! Nie żegnając się, odchodzi, mówiąc, że jeśli kiedyś powrócimy do seminarium, to za to już mi ręki nie poda, a także i inni koledzy.

Takie powiedzenie i obejście się jego oburzyło mnie bardzo i zabolalo! I dziwnym mi się wydało to, że on czy nie chciał, czy też nie był zdolnym zrozumieć mojego stanowiska, że skoro zostałem żołnierzem, to muszę słuchać rozkazów i być tam, gdzie zostałem przeznaczony. Ostatecznie jego zarzuty wydały mi się niesłuszne i rzucone odruchowo, więc wzgardziłem nimi, a nawet nim samym. I nie żegnając się, idziemy każdy w swoją stronę. Po tym dziwnym zajściu, idąc do koszar, zły byłem na niego i na siebie. Szybko doszedłem do przekonania, od wniosku, że to, co było należy przypisać jedynie porywczej naturze nas obu. Żal mi się robi jego. Za tym wracam się, doganiam go i tak jakby nic nie zaszło, idziemy razem, mało tylko mówiąc. Tak doszliśmy do jego kompanii. Tu spotykam wielu kolegów z seminarium i gimnazjum [z] Pułtusk i Makowa Mazowieckiego, z którymi wyruszyłem statkiem do wojska. Wśród nich wydało mi się bardzo wesoło, dobrze, ciepło, swojsko! Toteż po dłuższym namyśle postanowiłem dołączyć do ich kompanii i razem z nimi pójść na front.

Najpierw zwierzyłem się z tym, to jest z tą myślą swojemu bratu stryjczemu Wickowi, który był wtedy akurat w Cytadeli. A ponieważ on razem z bratem rodzonym Franciszkiem przeszli całą kampanię zdobywając z 6 pp Lidę, Wilno itd. oraz przeszli obaj odwrot z Wilna, a nawet był przez kilka tygodni w niewoli bolszewickiej i tylko co przed dwoma tygodniami uciekł z niewoli, ten rzadził mi gorąco odstąpić od powziętego zamiaru. Lecz długo go o radę nie prosiłem. Przykazałem mu tylko nic nie wspominać o mnie przed rodzicami i o moim pójściu na front. Pożegnaliśmy się czule i za chwilę byłem już razem z kol. Zdzisławem Olkowskim i innymi kolegami ze szkoły w Pułtusk. Jednak bez broni i całego rynsztunku żołnierskiego oraz nie zapisany jeszcze na liście kompanijnej. Późnym wieczorem razem z kompanią wyfasowałem chleb i czarną kawę. Do kawy musiałem pożyć menażki, bo swoją razem z całym rynsztunkiem zostawiłem w kompanii szkolnej, która o tej porze może już jechała do Poznania. Przespałem się na twardych deskach obok któregoś kolegi. Ponieważ nie miałem własnego koca, tej nocy nieźle zmarzłem.

Na drugi dzień na placu Traugutta w Cytadeli fasowaliśmy amunicję. Było to 14 sierpnia o godz. 7 rano. Otrzymałem razem z kolegami 120 sztuk naboju, ale nie miałem gdzie ich schować, bo nie miałem jeszcze ani chlebaka, ani plecaka, koca i broni. Więc w ostatniej chwili zameldowałem o rym panu kapitanowi, dowódcy batalionu. A ponieważ był to człowiek morowy, więc natychmiast łapie starego kaprała, będącego przy biedce, czyli przy wózku sanitarnym, rozkazuje mu wydać mi karabin, bagnet, ładownicę, łopatkę, plecak

<sup>6</sup> Wieś nad Narwią w odległości ok. 30 km na południe od Pułtusk. W latach 1890-1897 Rosjanie zbudowali tu twierdzę.

<sup>7</sup> Józef Haller (1873-1960) - w 1920 r. organizator i dowódca Armii Ochotniczej.

i chlebak, nie pytając mi się wcale, dlaczego tego nie posiadam. Widocznie wystarczył mu widok mojej kokardy ochotniczej i krzyża harcnerskiego, przypiętych na piersiach mundura [s]. A może tak prosząco patrzyłem na niego? Mając broń, rynsztunek żołnierski i pozwolenie pójścia na front jeszcze dziś, już o wszystko inne byłem spokojny, choć co prawda szkoła podoficerska, to znaczny kompania szkolna już mię nigdy nie widziała. Poza tym nie umiałem się jeszcze dostatecznie obchodzić z karabinem, bo nas dotąd tego jeszcze nie uczono. Dotychczas ciągle tylko formowano nowe kompanie i wysyłano na front. Nareszcie szedłem i ja na front! Pomimo, iż nie mogłem jeszcze strzelać, a jednak w pochodzie przez ulice stolicy śpiewałem razem z kompanią na cale gardło!!!

## W polu

Po stosunkowo krótkim pobycie w koszarach Cytadeli, bo jeszcze nie wszyscy żołnierze mogli się obchodzić z bronią, dnia 14 sierpnia batalion nasz wyruszył w pole. Skoro więc znaleźliśmy się za murami stolicy Warszawy, gdzie wzrok nasz mógł swobodnie bujać w przestrzeni widnokręgu, uczuliśmy się bardzo szczęśliwi!!! I błogo nam było w duszy! Każdy skwapliwie wciągał do płuc czyste powietrze, którego tak brakowało nam w koszarach Cytadeli. Po gościńcu, prowadzącym z Warszawy do Rembertowa<sup>8</sup> śmiało i rażno posuwał się nasz oddział z panem majorem na czele.

Byliśmy dumni sami z siebie i zadowoleni. Niestety! Radość nasza była tylko chwilowa. Bo oto, po kilkugodzinnym marszu, nagle w czasie odpoczynku usłyszeliśmy pierwsze huk armatni, który był zwiastunem, iż tak blisko jest nieprzyjaciela o czym w koszarach dotąd nie wiedzieliśmy. Następnie usłyszeliśmy strzał drugi, trzeci, czwarty, dziesiąty. Już na odgłos pierwszego huku znikła w nas nagle ta wspaniała wesołość i radość, a na jej miejsce nastąpiły jakby: trwoga, smutek, lęk oraz złość na bolszewików, która przewyższyła i zagłuszyła pierwsze. Widok uciekinierów cywilnych i żołnierzy rozbitków naszych, ich opowiadania o niezwykłym nieprzyjacielu, o kozakach Budienego<sup>9</sup>, potęgował w nas trwogę. I gdyby nie spokojna twarz wodza naszego batalionu pana majora „białowąsa”<sup>10</sup> (tak go nazywam, bo nie znam jego nazwiska, a miał jedną część wąsów białą a drugą ciemną), to w szeregach naszych ogromna dezorganizacja zrodziłaby się w jednej chwili. On właśnie jeden nie upadł na duchu ani chwili, ni odrobiny i z dawnym spokojem prowadził swój batalion na wschód, właśnie tam, gdzie było widać rozrywające się szrapnele w powietrzu. On „białowąs”, jadąc

<sup>8</sup> Rembertów - miejscowość na wschód od Warszawy, obecnie dzielnica Warszawy.

<sup>9</sup> Siemion Budionny (1883-1973) - w latach 1919-1923 dowódca słynnej z okrucieństwa 1 Armii Konnej, od 1935 r. marszałek ZSRR.

<sup>10</sup> Nie jest znane nazwisko dowódcy II batalionu w okresie walk w obronie Warszawy. Przed bitwą warszawską dowodził nim por. Jan Józef Rój, na przełomie sierpnia i września kpt. Mikołaj Hercunia, po czym znów por. Rój

na czele batalionu, wyglądał jakby szydził z baciuchów i jakby wprost już wzywał ich do walki.

Z dnia 14 sierpnia na 15-tego noc wypadła nam jeszcze w Rembertowie. Dnia 15 sierpnia raniusieńko batalion nasz gotowy oczekiwał na rozkaz wyruszenia ku okopom. W oczekiwaniu tym, w pogotowiu ostrym zeszedł nam jeszcze cały dzień 15 sierpnia. Broń była złożona w kozły, a żołnierze odpoczywali i każdy przygotowywał się do bitwy. A bitwa wrzała w całej pełni na naszym odcinku. Przez cały dzień atakowali bolszewicy, a nasi ich odpierali. My słysząc ten grzmot strzelaniny na całym froncie, byliśmy posepni, zamyśleni.

Nastąpiło ogólne pisanie listów: do rodziny, kuzynów i znajomych. U niejednego piszącego można było zauważyć i łzy w oczach, a niejedni i rozplakali się jak dziecko, bo zaprawdę i był jeszcze dzieckiem, bo był 16-to, 15-to, a nawet czternastoletni chłopak, który najczęściej uciekł po kryjomu z domu, bez wiedzy i zezwolenia rodziców, aby wstąpić do wojska polskiego jako ochotnik. Tu i ówdzie było widać żołnierzy modlących się, nawet na kolanach, na murawie polanki i proszących Boga, aby Ten dozwolił im jeszcze powrócić do stron rodzinnych, do rodzinnego domu. Ale spotkałeś tam i starych bywalców wojennych, którzy na widok modlących się młodszych kolegów śmiali się [30] z nich, szydzili, przeskadzali w modlitwie, a nawet po swojemu głośno przeklinali i bluźnili.

Sam czułem się jakoś dziwnie i nieswojo. Ciałem byłem w Rembertowie, ale myślą i duchem we wsi rodzinnej Szczeglinie, w domu, to znów w szkole w Pułtusku i w niedalekich okopach. Tego dnia napisałem dwa listy: jeden do domu, a drugi do pani Rosnowskiej Julii, mojej wychowawczynie seminaryjnej. Myśli moje z błyskawiczną szybkością przelatywały po głowie, a w wyobraźni zmieniały się ciągle obrazy. Czasami staję mi przed oczyma duszy cała rodzina, szkoła, a w niej koleżdy, koleżanki, a nawet wśród nich widzę samego siebie. Słyszę rozmowę, widzę to, czuję. Staram się z tego otrząsnąć i tu napotykam opór, bo im więcej staram się pozbyć tych myśli, to tym więcej one mię napastują i coraz stają się natrętniejsze. Spędziłem tak cały dzień.

Pod wieczór nagle rozbrzmiewa głos dowódcy batalionu: „do broni”<sup>11</sup>. Wtedy wszystka wiara zrywa się na równe nogi, wkłada rynsztunek i jak jeden mąż staje w szeregu. Dowódca jeszcze raz robi przegląd, jakby chciał przyjrzeć się każdemu, napatrzeć, ustawić nas kompaniami i już wiedzie ku okopom. Słońce już zaszło, ściemnia się. Idziemy naprzód. W czasie skradania się ku okopom byłem nadzwyczaj wesoły. Sam się dziwiłem temu i zupełnie nie mogłem odgadnąć, czemu mam przypisać tę wesołość. Bo moi koleżdy, zwłaszcza młodzi ochotnicy idący obok mnie, szli ze spuszczoneymi głowami, smutni. Jeden nawet powiedział „że się boi”, za co go wyśmiałem.

Później gdy zastanowiłem się nad tą wesołością, to doszedłem do przekonania, iż ta odwaga chyba była mi udzielona przez samego

<sup>11</sup> II batalion 13 pp zluźował 236 pp pod Leśniakowizną, wsią leżącą ok. 5 km na pld.wschód od Wołomina, obok Ossowa.

pana majora. On właśnie swoim zachowaniem się wywarł na mnie tę równowagę ducha. Był to stary żołnierz i zasłużony w bojach z wojny bolszewickiej i światowej. Otóż i tej nocy pomimo, że bolszewicy przypuścili atak na każdym odcinku przed nami, gdzie w tej chwili słychać piekielny hałas, wrzask ludzi, strzelaninę i świst kul, co na każdym żołnierzu nowicjuszu wywiera wrażenie strachu, to on jeden zawsze spokojny, poważny, siedząc na białym jak mleko koniu, objeżdża batalion, dodając żołnierzom męstwa i swą cichą, a spokojną komendą, zmienia szyki. Wszędzie jest. Raz jedzie przodem, drugi raz zjawi się jak duch z tyłu, to znowu wydaje poszczególnym oficerom rozkazy, a często, gdy zatrzymamy się na chwilę, nawet rozmawia z szeregowcami. Na wszystko wokoło zwraca baczną uwagę. Jest odważny, ale i przezorny.

Gdy już odległość pomiędzy nami a okopami wynosiła około pół kilometra wtenczas zatrzymał oddział, dał nam kilka minut wypoczynku i wydał ostatnie przed bitwą rozkazy. Przede wszystkim rozkazał naładować broń i nie palić papierosów. Sam zaś oddał ordynansowi swego wiernego, białego towarzysza i cichaczem ruszyliśmy naprzód. Już, już dochodzimy do ognistego koła, otaczającego nasze okopy. Już huk naszej artylerii ogłusza nas na dobre, a kule karabinów maszynowych wypuszczone przez nieprzyjaciół, zbłąkane trafiają w nasze szeregi. Nieraz tak blisko bzyknie ci koło uszu, iż myślisz przez mgnienie oka, że cię trafiła. Wtedy dreszczem zostaniesz przesyty od stóp do głowy.

Jednak na kule człowiek prędko obojętnieje. Większe wrażenie od kul czyni widok pierwszego trupa na froncie. Oto po opuszczeniu ostatniej wioski przed samymi okopami przechodząc, nagle pod nogami ujrzałem trupa żołnierza, zabitego może temu cztery godziny, gdyż dziś przed wieczorem bolszewicy zrobili wypad, przerwali na tym odcinku front, a później zostali odparci z powrotem. Żołnierz ten leżał odarty z odzienia. Był w bieliźnie. Zrobili to bolszewicy. Tak oni postępują z trupami i niewolnikami, których odzierają do bielizny. Trup ten wywarł na mnie wrażenie okropne!

W jednej chwili poznałem okropności wojny, choćby tylko patrząc na tego trupa leżącego na gościńcu i tratowanego przez przechodzących żołnierzy, konie i wozy. Po ominięciu trupa i po dojeździe do równowagi zawołałem w duchu: żołnierzu, za co cię tak Pan Bóg ukarał surowo! Nie dosyć, żeś padł ofiarą dla Ojczyzny, to jeszcze po śmierci jesteś tratowany przez konie i ludzi? Za jaki to występek zostałeś ukarany żołnierzu, że nawet jednego człowieka nie znajdzie się w przechodniach, któryby zlitował się nad twym ciałem, zatrzymał się na chwilę i usunął je na stronę? Nie żołnierzu! Ty spełniłeś tu tylko swoją chwalebna powinność względem Ojczyzny! Ty przez tę śmierć, którąś poniósł przy obronie granic Polski, właśnie zmaszałeś swe grzechy. Ty jesteś teraz czysty i niewinny jak lilie wodne. Teraz nikt ci nie ma nic do zarzucenia. Żołnierzu! Jednak żal mi cię bardzo! Choć sam nie wiem, jak mi przyjdzie zakończyć. Dziś to tylko mogę ci powiedzieć: „Ty coś walczył dla idei, chwala ci”, po

wszystkie wieki!

Dumania te zostały przerwane cichą komendą, ale stanowczą: „w tyraliery”. Rozkaz wykonany. Rozsypaliśmy się w tyralierkę i na całej linii posuwamy się jednocześnie. Wiele trudności sprawiało nam to zajmowanie okopów, gdyż ogień był otwarty w całej pełni i z tego powodu co chwila musieliśmy padać na ziemię. Po bardzo mozolnym przedzieraniu się, w końcu zajęliśmy okopy. Uszczęśliwieni byli tym przybyciem nasi koledzy - żołnierze, którzy już od dłuższego czasu wyczerali wszystkie siły dla odparcia wroga. Nawet samo przybycie nasze wiele dodało im odwagi i ducha. Otóż jesteśmy w okopach!

## 15 sierpnia 1920 rok.

### Okopy

Już od najmłodszych lat, bo skoro tylko mogę zapamiętać, wiele czytałem książek o wojnie i słyszałem wprost od świadków naocznych, iż okopy w walce są najniebezpieczniejszym punktem. Każdy narzeka na okopy. Więc i ja dochodzę do okopów, a raczej skradam się z lękiem w towarzystwie setek świszczących kul ponad głową. Myślę sobie jednocześnie, iż w tych okopach musi być jeszcze straszniej, okopniej. Toteż szczególnie ci, którzy właśnie pierwszy raz znaleźli się w boju z wielką trwogą w duszy zbliżali się ku okopom. Tymczasem zaraz po wejściu do okopów przekonałem się osobiście, jak bardzo myliłem się co do ich okropności. Zamiast ujrzeć w nich coś straszego, od razu odczułem w nich wszystko zbawienne, co tylko żołnierzowi w bitwie może być najbardziej potrzebne. Bo one przyciągnęły zaraz od pierwszej chwili całą tyralierę żołnierzy w swoje ramiona i zabezpieczyły od gradu kul świszczących ponad okopami. Tu uczuliśmy się bezpieczni. Teraz już tylko słyhać świst kul ponad okopami.

Stanąwszy na oznaczonym miejscu oczekiwaliśmy otwarcia ognia z naszej strony. Po krótkim oczekiwaniu wedeta<sup>12</sup> dała znać swym wystrzałem, że nieprzyjaciel zbliża się, atakuje. W tejsze chwili ściągnięto wedetę do okopów i każdy gotowy już do strzału. Czekamy na rozkaz. Kiedy bolszewicy byli już blisko, wtenczas dowódca krzyknął: „ognia, chłopcy!”. Na to hasło powietrze zadygotało i rozległ się huk wielki naszej pierwszej salwy. Za nią druga, trzecia, dziesiąta itd. I już na całej linii okopów słyhać tylko jedną strzelaninę. Pomiędzy tymi strzałami słyszemy hukanie ręcznych karabinów, trąkotanie maszynek i miarowe wybuchy, podobne grzmotom, naszej artylerii.

Wielka ciemność jest przerywana i darta w strzępy przez jasny ogień. Walka wre na całym froncie. Bolszewicy atakują silnie, a my odpieramy ich jeszcze silniej. Lecz ja się dziwię i rozmawiam w duchu, dlaczego nie słyhać strzałów bolszewickich? Zapomniałem

o tym, że często nie słyseż dziesiątego strzału wypuszczonego przez siebie, z własnego karabinu. Wkrótce zorientowałem się i już wnioskowałem o mniejszym lub większym ataku z gry kul przelatujących ponad okopami. Właśnie i teraz po godzinnej strzelaninie można było łatwo odgadnąć, że nieprzyjaciel się cofa. Rzeczywiście bolszewicy byli odparci. Wtenczas następuje ogólna radość! Tylko żołnierzowi, który jest pierwszy raz w okopach, jest jakoś dziwnie, nieswojo, a nawet okropnie!

Ale z nas każdy przyswoił sobie prędko to życie w okopach, ponieważ tak wypadło, że co jeden młody żołnierz, to drugi stary wiarus siedzi w okopie. I jeśli taki stary zauważył, że który z młodych się lęka lub źle strzela, chybja, to szydzi sobie z niego, albo wprost klnie i krzyczy jak na swego poddanego. Poniekąd w okopach takie postęпки wiarusów wpływają dodatnio na niedoświadczonych. Po odparciu ataku strzały powoli cichły, aż wreszcie zamilkły zupełnie na całej linii. Po wielkiej strzelaninie nastąpiła cisza grobowa niczym nie zakłócona. Reszta nocy zesła nam w ten sam sposób, aż do rana. Podczas tej nocy aż dwa razy stałem na wedecie w Rembertowie pod Warszawą.

### Atak odparty

Już strzały bolszewickie rzadziej świstają ponad naszymi głowami, już każdy z nas śmieiej wygląda z okopów, a zuchwalsi nawet już stoją ponad okopami, skąd widać było o kilka staj<sup>13</sup> trzy tyraliery nieprzyjacielskie, czołgające się jako wąż w stronę swoich okopów. Na taki widok w żołnierzach powstaje wielka radość, trudna do opisanja. Wszyscy wyskakują z okopów i każdy mierzy do swego bolszewika, aby jeszcze jednego baciucha zgładzić z tego świata. Toteż skoro nieprzyjaciel, do którego celowaliśmy, po wystrzale padnie, żołnierz celujący nie posiada się z radości. Zaciera ręce i mówi, chwając się przed innymi, iż choć jednego bolszewika to naprawdę ma na dobry uczynek, co z pewnością pisarze niebiescy już zapisali do swoich ksiąg, ten tak szlachetny uczynek. Nawet niejeden z nich myśli, że z tego względu dostąpi zupełnego odpustu.

Tymczasem nie wiadomo czy żołnierz naprawdę leży zabity, czy też może już o kilka kilometrów dalej odpoczywa wśród swoich. Jednak mimo wszystko, zwycięzca czasem rzekomo nadal jest dumny ze swego czynu. Inni, skoro kula karabinu nie dosięgnie baciuchów, przezywają ich, klną siarczyście, grożąc pięściami w stronę oddalających się nieprzyjaciół, dopóki nie znikną zupełnie na widnokręgu ich białe brudne koszule. A kiedy bolszewicy znikną zupełnie z oczu, wtedy żołnierze nasi skaczą z radości, skupiają się ponad okopami i żywo tłumaczą jedni drugim, jak to baciuchy ruskie szybko podchodzili pod nasze druty i okopy oraz jak jeszcze szybciej

uciekali. Jednak na dany rozkaz wszyscy zdrowi i żywi wracamy na swoje stanowiska i warujemy dalej. Następuje znów złowroga cisza. Aż dziw bierze, że zaledwie kilka minut upłynęło od chwili, gdzie jeszcze ziemia drżała i dygotało powietrze od huku armat, bomb, karabinów i wrzasku, teraz wszystko ucichło nagle i wydaje się, że w całej okolicy nie ma żywej duszy. Tymczasem jest to chwila, kiedy atak nieprzyjacielski został odparty.

16 sierpnia 1920 r. Była niedziela. W mojej parafii w Gąsewie odbywał się odpust na świętego Wawrzyńca. Ważny to dzień dla mnie, gdyż rok rocznie służywałem tam tego dnia do Mszy Świętej. Dziś siedzę w okopach. Ogromna różnica. Tęsknię za domem, rodziną, wioską rodzinną Szczeglinem Poduchownym, kościołem i całą ludnością parafii i okolicą. Wszystko staje mi przed oczyma duszy. Rzeczywistość budzi mię. Siedzę od nocy w okopie. Już od samego rana bolszewicy niepokoili nas, a po południu o godz. trzeciej spróbowali pokosztować szczęścia i przypuścili atak ostateczny, myśląc, że uda się im przerwać nasze druty i okopy.

Lecz jakby na złość im, ani jeden żołnierz polski nie uciekł z placu boju, a tylko kilku zostało zabitych oraz kilkunastu rannych. Za to bolszewików padło kilkudziesięciu, których widziałem na własne oczy przy zbieraniu rannych po bitwie. W kilka minut po odparciu ataku wedeta nasza dopiero co wystawiona, znów dała wystrzał i zaalarmowała nas. Wszyscy zerwaliśmy się na nogi w okopach i poza drutami ujrzeliśmy bolszewika, który już rzucił karabin na ziemię, ręce podniósł do góry, dając znak, że chce przejść na naszą stronę. Na widok tego bolszewika żołnierze, jeszcze nie ochłonawszy z gniewu, jaki się czuje do wroga, mimo woli chwycili za karabiny. Lecz w tej chwili zagrzmiął donośny głos dowódcy: „nie strzelać!”.

Wołamy bolszewika do nas, jemu się nie śpieszy. Widać, że chce się nam poddać, a boi się. Jeszcze chwilę waha się, ale gdy już kilku naszych skoczyło po niego za druty, rad nierad ze strachem już idzie dobrowolnie w niewolę. Wtem z dala nagle jakby z pod ziemi znów wyrastają bolszewicy i stają jak wryci na miejscu, gdzie który leżał. Z początku myśleliśmy, że to zdrada, lecz wkrótce przekonaliśmy się, że oni pozostali tu po to, aby być zabranymi do niewoli. Było ich kilkunastu. Teraz już więcej żołnierzy pobiegło z bronią po bolszewików, zachowując ciągle ostrożność, aby ich schwytać i przyprowadzić do naszych okopów.

Przy chwytanju bolszewików widok był bardzo charakterystyczny. Mianowicie. Pomimo, że dlatego jedynie pozostali, aby cało dostać się do niewoli, to jednak kiedy nadeszła ta chwila, w której mieli się oddać w ręce nasze, widocznie sumienie wzdrzygnęło się w nich i tak byli roztagarnieni, prowadząc walkę wewnętrzną pod wpływem strachu, że niektórzy trzymając ręce do góry, kiedy już dochodzi do niego Polak, raptem opuszczają ręce, chwytają za karabin i chce uciekać. Lecz już było za późno! Jak wielkie kontrasty są w takiej chwili! Niewolnikom jest smutno, a zwycięzcom serca rosną z radości. Tak bywa po każdej bitwie.

Przez trzy dni z rzędu byliśmy napastowani nieustannie przez bolszewików, którzy z wielką

<sup>12</sup> Wedeta - warta składająca się z żołnierzy rozstawionych co kilka lub kilkanaście metrów, w odległości uniemożliwiającej przeciwnikowi niepostrzeżone przemknięcie między poszczególnymi żołnierzami

<sup>13</sup> Stajanie, staje – w XIX w. nowopolska miara drogowa, licząca 1066,8 m. Odpowiednik rosyjskiej wiorsty. Być może wychowany na tradycji wsi mazowieckiej W. Kocot używa jednak jeszcze miary staropolskiej, która liczyła ok. 134 m.

pasją rzucali się na nasze okopy i nawzajem byli odbijani jak groch od ściany. Trzeciego dnia po południu (17 sierpnia 1920 r.) bolszewicy przypuścili najsilniejszy atak na naszym odcinku. Atakowali w liczbie siedmiu linii tyralierskich. Atak tak był gwałtowny i szybki, że przestrzeń dzieląca nasze okopy około czterech wiorst<sup>14</sup> została przebyta przez nieprzyjaciół w przeciągu około 20 minut. Pierwsze dwie linie dochodziły już pod same druty nasze. Zdawało się nam, że już przerwą naszą linię okopów i żołnierzy i zostaniemy pokonani. Lecz na widok tych śmiałych baciuchów, skradających się tuż pod naszymi okopami, w żołnierzach budzi się złość szatańska i jeszcze z większą zaciekleścią strzelają. W takiej robocie i w takiej pasji żołnierz wcale nie zważa na kule nieprzyjacielskie, a tylko bierze na muszkę bolszewika i pali w niego!

Ten wielki atak i silny trwał przeszło godzinę bez przerwy. Wtenczas sam wystrzeliłem ponad siedemset sztuk naboju i popaliłem sobie lewą rękę od rozpalonej lufy karabinu. Bolszewicy zostali odparci. My jako zwycięzcy byliśmy bardzo zadowoleni z siebie. Tego dnia pod wieczór, kiedy na Ciechanowie, Mławie, Przasnyszu, Makowie i Pułtusku<sup>15</sup> nasze polskie wojska już przerwały linie bolszewickie wtedy i nasza 13-ka otrzymała rozkaz pójścia na wypad. Ponieważ mój drugi batalion już od trzech dni był w okopach bez przerwy, w ciągłym ogniu, przeto trzeci batalion robi wypad pierwszy<sup>16</sup>.

Dotychczas wypadu robili tylko bolszewicy, a od dzisiejszego dnia rozpoczynamy my ofensywę z polskiej strony. Toteż trzeci batalion skoro tylko wyszedł za nasze druty i jeszcze nie zdążył rozwinąć się w tyralierkę, już bolszewicy dostrzegli go i zaczęli siać serie ognia z maszynek po naszych żołnierzach. Momentalnie batalion padł na ziemię i począł się niepostrzeżenie posuwać na przód. Ogień już wre w całej pełni. Zajęliśmy z rozkazu swoje miejsca w okopach, będąc gotowi do bitwy. Tymczasem słuchaliśmy świstu kul grających ponad naszymi okopami. Wtedy byliśmy podobni ludziom, którzy siedzą w domach i przysłuchują się okropnej burzy z piorunami, szalejącej na dworze.

A tymczasem zwycięski trzeci batalion 13-ki przerwał już trzy linie okopów bolszewickich i parł ich naprzód przeszło sześć wiorst. Kiedy już strzały ucichły i stopniowo się oddalały, myśmy wyszli ponad okopy. Byliśmy teraz zupełnie bezpieczni i swobodni. Korzystając z tej swobody, wybiegłem z innymi za druty kolczaste szukać rannych z 3-go batalionu. Na szczęście na moim odcinku nie było żadnego. Po drodze wstąpiłem do ogrodu, któremu dotychczas przyglądałem się tylko z daleka, nabierałem jabłek pełne kieszenie, pełną furazerkę i z wielkim zadowoleniem wróciłem do okopów.

Niedługo powracał z wypadu cały trzeci

batalion, ciągnąc za sobą 2 maszyny na kółkach, niosąc wiele ręcznych karabinów, rannych i pędząc przed sobą jeńców. Zobaczywszy maszyny bolszewickie od razu przypomniałem sobie taką maszynkę na kółkach, którą znalazłem w ogrodzie pod krzakiem agrestu czy porzeczki, wraz z całą wielką taśmą z nabojami i skrzynkami. Zaczęłem już ją ciągnąć w stronę naszych okopów, ale te ładnie pachnące jabłka stały mi na przeszkodzie, no i to, że byłem bardzo głodny. Zostawiłem maszynkę, taśmę, skrzynki, naboje, a wziąłem jabłka, które po drodze chciwie zjadałem. Dopiero później po zjedzeniu ostatniego jabłka z kolegami, zażądałem za maszynkę. Lecieć po nią teraz było za późno. Spodziewaliśmy się nowego natarcia nieprzyjacielskiego wieczorem, który się zbliżał.

Trzeci batalion 13-ki po powrocie z wypadu miał zaledwie kilkunastu rannych. Ilu żołnierzy było zabitych, nie wiem. Na noc pozajmowaliśmy miejsca w okopach, każdy na swoim stanowisku. Czujność została podwojona. Wystawiono wedety tuż przed drutami. Oczekiwaliśmy natarcia bolszewików. Lecz noc z 17-go sierpnia na 18-tego sierpnia 1920 roku upłynęła nam spokojnie, tylko tu i ówdzie słychać było zmieniające się wedety co pół godziny. Tej nocy sam stałem na wedecie dwa razy. Ciekawe wrażenie miałem. Przez te pół godziny byłem już bardzo zmęczony. Najbardziej tępi się wzrok i słuch. W ciemną noc pracuje tylko słuch. Wzrokiem człowiek stara się przebić ciemności, ale nie widzi. Znów nasłuchuje. Człowiek pracować musi, bo wróg czyha na niego. Żołnierz bowiem stojący na wedecie, pomimo, że stoi krótko, to jednak tak jest zmęczony fizycznie i psychicznie, iż wzrok i słuch ludzą go. Na wedecie zapatrzony jesteś przed siebie, stoisz nieruchomo jak posąg kamienny, czuwasz, a często na drzewa, krzewy lub słup, myślisz, że to nieprzyjaciel skradający się. I im dłużej patrzysz się, tem widzisz wyraźniej ruszającą się postać. A kiedy krzakiem poruszy choćby maleńki wiaterek, to usłyszysz wyraźnie posuwającą się postać. Wtedy już niewiele wahając się, palisz z karabina w zdradzieckie miejsce.

W ten sposób swoi zaalarmowani. Natychmiast pędzi dowódca wedety. Sprawdza co jest. O ile rzeczywiście jest nieprzyjaciel, ściga wedety, czyli czujki do okopów i rozpoczyna się bitwa. Często wskutek nagłego i niespodziewanego ataku nieprzyjaciela nie zdąży się ściągnąć czujki, czyli wedety. Wtedy ta ginie w krzyżowym ogniu, żołnierz na wedecie stojący znajduje się w najniebezpieczniejszym punkcie frontu. Przed sobą bezpośrednio ma tylko wroga i czuje śmierć każdej chwili. Czuwa więc w każdej chwili bez przerwy. Baczny i ostrożny na wszystko.

Pamiętam, pod Warszawą w Rembertowie jednej nocy świnia narobiła nam alarmu. Podeszła od strony nieprzyjacielskiej pod same druty i narobiła hałasu. Z jej przyczyny strzelanina trwała na całym odcinku frontu może dziesięć minut. Tysiące naboju poszło na marne. Lecz bezkarnie jej to nie uszło, gdyż poniosła śmierć od naszych kul.

Żołnierze byli zadowoleni z takiego nieprzyjaciela. Każdy otrzymał dodatkową

porcję z zabitej świnki. Niektórzy wykrzykiwali, aby takich nieprzyjaciół było jak najwięcej. Na przyszy dzień to znaczy 18-go sierpnia opuściliśmy okopy i cała 13-ka poczęła ścigać uciekających w poplochu baciuchów. Cały dzień szliśmy naprzód bez żadnego oporu ze strony bolszewickiej. W ten sposób na całym froncie, poczynając od rzeki Wieprza, aż po Płock przez Warszawę, Modlin itd. nasze polskie wojska z rozkazu Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego rozpoczęły generalną ofensywę i zaczęły energicznie atakować zniechęconych baciuchów. Nieprzyjaciel się cofał. Nareszcie pękł pierścień bolszewicki pod uderzeniem polskich bagnetów. Struchlały dzikie hordy najeźdźców pod obuchem wojsk polskich i w przerażeniu poczęły uciekać w poplochu.

## Pościg

Bolszewicy tak szybko uciekali, że nie można było ich dognać. Najwięcej ścierał się z nimi patrol. Cały dzień 18 sierpnia i cała noc na 19 sierpnia upłynęły nam na ciągłym, forsownym marszu. Przypuszczam, że nocą zapewne posuwaliśmy się wzdłuż frontu, bo szliśmy dosyć śmiało tak, iż rano stanęliśmy w Wyszkowie, gdzie już bolszewicy byli wyrzuceni<sup>17</sup>. Po przebyciu drogi z Rembertowa do Wyszkowa byliśmy bardzo zmęczeni tak długim marszem. Osobiście byłem tak mocno strudzony i wyczerpany z sił, iż mało zwracałem uwagi na miasto. Moja 5-ta kompania drugiego batalionu 13 pp zatrzymała się w rynku na pół godziny i tu na śniadanie była wydana kawa, lecz bez chleba, której nawet nie brałem, gdyż tak bardzo byłem zmęczony. Zmęczenie przemogło głód.

Jednak, gdy koledzy zaczęli fasować po sklepach żywność i co się dało, zwłaszcza w sklepach żydowskich, przeważnie opuszczonych przez właścicieli, wstałem z trudem i wlałem do pierwszego lepszego kramika<sup>18</sup>. Zastałem tam niemal wszystko już przerzucone przez wcześniejszych gości kolegów, a może niedawno zbiegłych bolszewików. Ostatecznie wyszperałem jeszcze gdzieś na dolnej półce dwa okrągłe pudełka z landrynkami. Zabrałem oba i uradowany ze zdobyczy wróciłem na swoje miejsce.

Otworzywszy pierwsze pudełko zacząłem chrupać dość zakurzone cukierki i dzielić się nimi z kolegami. Wkrótce rozdałem wszystkie landrynki z pierwszego pudełka. Sobie zostawiłem tylko te, co już albo zjadłem albo jeszcze miałem w ustach. Byłem pewny, że w drugim pudełku, podobnym do pierwszego też są cukierki. Tymczasem srodze się omyliłem. W drugim pudełku były pierścienki!

<sup>17</sup> Oczywiście 13 pp nie posuwał się wzdłuż frontu, lecz w ślad za wycofującymi się na linię Bugu i Liwca bolszewikami, którzy czynili to tak szybko, że tylko nielicznym jednostkom polskim udało się nawiązać kontakt bojowy. Wyszków został zdobyty brawurowym atakiem przez 31 pp dnia 18.08. o godz. 20.30.

<sup>18</sup> Żydzi wyszkowscy, podobnie jak większość Żydów mazowieckich, opowiedzieli się po stronie bolszewików. W obawie przed represjami ze strony wojsk polskich opuścili miasto wraz z armią bolszewicką.

<sup>14</sup> Wiorsta - rosyjska miara drogowa, licząca 1066,8 m.

<sup>15</sup> Pułtusk został wyzwolony 17.08. wieczorem o godz. 20 przez 15 pp.

<sup>16</sup> Chodzi o zakończony sukcesem wypad w dniu 17 sierpnia na wieś Majdan, leżącą w odległości ok. 3 km od Leśniakowizny, w kierunku północno-wschodnim.

Akurat takie same pierścionki, którymi handlują po odpustach kataryniarze. Co to kręcąc wściekle piskliwą katarynką, wołają do myszki, morskiej świnki, czy papugi: „Lorcia dla tej pani jednego, a dużego pierścionka”. Pełne pudło drucianych czy miedzianych obrączek! Roześmiała się wiara na widok pierścieni i ze mnie, że nie jem landrynek. Rozgniewany taką omyłką rozsiałem na bruku pierścionki, sygnety, zabierając sobie tylko trzy garście na pamiątkę. Wybrałem największe, które wkrótce szczerniały na żelazo.

Po kawie kompania zrolowała płaszcze i ulicą Białostocką wyszliśmy na szosę do Ostrowi. Maszerowaliśmy krótko. Cały batalion musiał rozwinąć się w tyralierę, gdyż zaraz za pierwszym laskiem od Wyszkowa napotkaliśmy w okopach niedaleko wioski<sup>19</sup> całą tyralierę bolszewików. Zdażyliśmy się rozwinąć do ataku i ująć ze dwa staja drogi naprzód, a już bolszewicy otworzyli silny ogień z ręcznych karabinów i maszynek. Wówczas na dany rozkaz cały batalion padł na ziemię i z wielką zrećnością węża czołgającego się naprzód, posuwaliśmy się ku okopom bolszewickim. Była może godzina jedenasta i pół w południe. Słońko dochodziło szczytu kulminacyjnego i grzało silnie. Z nas żołnierzy pot lał się kroplami po całym ciele. Trudno było oddychać, tak wielki był upał. I pomimo fizycznego wyczerpania po tak długim marszu i z głodu, jeszcze mieliśmy tyle sił, aby się podnosić, bieć naprzód i znowu padać. Do tego byliśmy odpychani setkami kul karabinowych i armatnich. Artyleria bolszewicka tu była czynna i wyrządziła nam niemałe szkody. Im bliżej byliśmy okopów, tem większym ogniem byliśmy napastowani. Z naszej strony początkowo mało było ognia, gdyż stale się podciągając ku okopom, staraliśmy się tylko posuwać jak najszybciej. Stosownie do rozkazu podawanego stale z ust do ust przez żołnierzy w tyralierze nałożyliśmy już bagnet na broń. Ja jeden tylko nie mogłem nałożyć bagnetu, gdyż karabin miałem francuski, a bagnet austriacki czy niemiecki. Nie pasował. Toteż w ciągu całych 3 miesięcy pobytu na froncie, w ciągłym ataku, zawsze na każdy rozkaz dowódcy: „bagnet na broń, podaj dalej”, mimo woli chwyciłem za bagnet i starałem się go nałożyć na karabin. Zawsze bez skutku. Zdenerwowany szybko wkładałem bagnet do pochwy z powrotem. W to miejsce kładłem, czyli ładowałem do karabina po 5 naboji z łódką, a szóstą w lufę i tak atakowałem zawsze. Postanowiłem, że zanim zostaną zakłuty przez bagnet bolszewicki, to choć jednego czy dwóch, ilu się poszczęści, muszę wpięć zastrzelic przygotowanymi kulami. Zawsze miałem tą wiarę. Muszę tu jednak stwierdzić, że takie niepasowanie bagnetu i karabina dla mnie zawsze było nie tylko niemiłe, ale nawet okropne. Zdaje się tak niewielkie niedociągnięcie w posiadanej broni, a tak wiele kosztowało mi zdrowia i tyle strachu nabawiło mi w czasie każdego ataku na bagnety.

I teraz podczołgaliśmy się z nałożonymi bagnetami (prócz mnie) tuż pod okopy. Lada chwila krzyknijemy „ura!”, „ura!”. Przy tym

<sup>19</sup> Wioska Komisarówka sąsiadująca z wsią Trzcianka, pod którą 20.08. 13 pp stoczył zwyciężyły bój.

posuwaniu ani na krok nie odstąpiły od żołnierza jego frontowe towarzyski - kule. Toteż wielu żołnierzy wzięły one w swe objęcia na zawsze, a jeszcze więcej chwilowym pocałunkiem. W czasie tego ataku na okopy bolszewika za Wyszkowem, został zabity przez pocisk nieprzyjacielski sam dowódca naszego batalionu pan major „Białowąs” (właściwego nazwiska nie znam)<sup>20</sup>. Szkoda mi było dzielnego pana majora! Żołnierze wołali przez podaj dalej długo: „Sanitet! Natychmiast na lewe skrzydło!” A w końcu: „Sanitet! Na lewe skrzydło do pana majora!” W jakiś czas znów nowe wołanie: „Sanitet! Na lewe skrzydło, bo i dowódca 5. kompanii pan kpt. Truszkowski<sup>21</sup> ranny wzywa pomocy! Podać dalej!”. Tak żołnierze bez przerwy podawali. Sanitariuszów nie było. Widocznie jeszcze siedzieli gdzieś w Wyszkowie lub z dala od pierwszych linii atakujących. Ranni dowódcy nie doczekali się pomocy i jak wielu ich żołnierzy umarli śmiercią walecznych, tuż pod okopami na polach wsi Studzianki<sup>22</sup>.

Było już źle z nami. Byliśmy tuż, tak blisko, że dalej ze względu na gwałtowny ogień maszynek nie można było pójść. Może ani jeden żołnierz nie zdołałby dobiec do okopów, a każdy musiałby przywitać się wpięć ze śmiercią. Lecz w samą porę przyszła nam w pomoc nasza artyleria. Ta jak wzięła cel, jak wymierzyła, tak biła po samych okopach, a więc i po baciuchach. Bolszewicy widząc, że dłużej się nie utrzymają na miejscu, zaczęli wyrwać z okopów, a wtedy my salwami miotaliśmy po nich. W ten sposób wykurzyliśmy bolszewików i sami zajęliśmy okopy. W okopach uczuliśmy się bezpieczniejszymi.

Teraz już i bomby armatnie mniej nam szkodziły, chociaż nieustannie padały ponad okopami, wrywając doły jak do ziemniaków. Mamy atakować dalej i pędzić uciekających. Na razie jesteśmy w okopach na całej linii i chodzi nam o to, aby chwilkę wypocząć i nieco ożywić się chłodem okopów. Taki był upał, że żołnierze zmuszeni byli odgrzebywać na dnie okopów piasek suchy i gorący, aby zbliżyć się do ziemi wilgotnej i chłodniejszej. Wielkim było balsamem dla żołnierza, jeżeli mógł się dostać do wilgotnej ziemi i ułożyć na niej przynajmniej twarz, po której strumieniami spływał pot z powodu gorąca i ciężkiej pracy w tym ataku.

Sam, zaraz po zajęciu okopu, natychmiast odgarnąłem prawą ręką ciepły piasek, ot tak wprost dłonią i przez pierwsze kilka minut zamiast dalej celować i strzelać przykładalem do chłodniejszej ziemi raz jeden policzek lewy, to znów prawy. Na razie nie mogliśmy atakować jeszcze i dlatego, że nie było już dowódcy. Był

<sup>20</sup> Wykazy poległych, a także autor monografii 13 pp K. Goch, *13 Pułk Piechoty*, Warszawa 1929 nie wymieniają wśród poległych pod Komisarówką żadnego oficera.

<sup>21</sup> Ppor. Jan Truszkowski, odznaczony orderem *Virtuti Militari* V klasy.

<sup>22</sup> Wsi o takiej nazwie w okolicach Wyszkowa nie było. Najprawdopodobniej chodzi tu o wieś Trzcianka (ok. 6 km na półn-wsch. od Wyszkowa przy drodze na Ostrów Mazowiecką), bronioną przez oddział sowiecki w sile 600 ludzi i 3 działa. Wojska polskie zdobyły ją 20.08. o 11.30.

zabity. Z tego względu na moim odcinku wytworzyła się ciekawa dla mnie sytuacja. Kiedy już nadeszła po kilka razy wiadomość przez tyralierę, że dowódca batalionu i dowódca kompanii są zabici, wtedy przeważnie starzy żołnierze, początkowo może nawet zażartowali, ażeby dalej prowadził nas sierżant nazwiskiem Głowacki<sup>23</sup>. Wszyscy tu go nazywali pogardliwie „Cipa”.

„Sierżant Cipa!”. Jakie stanowisko on zajmował w 5. kompanii nie wiedziałem. Wiem tylko, że był sierżantem Głowackim. Lecz ten nie był tak bardzo godny takiego pięknego nazwiska, jak niegdyś może jego przodek spod Raclawic Bartosz Głowacki. Ten skoro usłyszał, że on „Cipa Głowacki” ma dalej prowadzić cały batalion, jak tego domagali się najbliżsi żołnierze, od razu czoło głowy oparł na piasek, na samym dnie okopu, tuż obok mnie po sąsiedzku, wyciągnął się na brzuchu jak długi i udaje, że nie słyszy. Zabity czy śpi. Wołania żołnierzy się ponawiają. Upominają się, aby natychmiast ścigać uciekających i nie dać się obsadzić baciuchom w pierwszej wiosce. On nic. Leży bez duszy. Gdy go poruszyłem za cholewę i zawołałem, podniósł głowę i udawał, że o niczym nie wie. Wkrótce udał, że rozumie sytuację, zerwał się na nogi i rozkazał: „Naprzód marsz! Podać dalej!”. Rozkaz został powtórzony natychmiast przez tyralierę w obie strony. Ale jakoś nikt nie wyłaził z okopów. Pan sierżant to widzi. Bo i sam nie wyszedł. Dopiero na podpowiedź któregoś z żołnierzy: „Niech sierżant sami idą naprzód, to my za wami”, wyłaził nad okop. Naturalnie ja jako najbliższy pan sierżanta wałę za nim. Uszliśmy może obaj, dosłownie obaj, może z dziesięć metrów, a tu raptem przed nami zakotłowało coś w piasku. Piasek rozleciał się jakby kto przeciął kijem czy batem wodę. Widzimy przed sobą na dwa metry, jak cała seria kul przecina piasek i rozlewa się, topiąc i rozpryskując na wszystkie strony.

Sierżant Głowacki z okrzykiem: „Cofać się do okopu!” wpada do okopu pionurzem, a ja za nim. Mamy szczęście, że lufa bolszewickiej maszynki o włoszek cienki była podniesiona przy nisko. W przeciwnym razie byłoby po nas obu. Z tego względu pan sierżant miał nawet pretensję do żołnierzy, że go wykiwali. Wszak sami wołali, aby ich prowadził. A kiedy już szedł, to było nas dwóch i dlatego cały atak strzelaniny poszedł na śmiałków. Za to później pan sierżant Głowacki już był ostrożniejszy. I był już zupełnie obojętny na wołania, aby prowadził batalion do ataku. Przez ten czas ktoś z oficerów zastąpił już zabitych dowódców. Był to dzielnym oficer 13 pp pan ppor. Poszepczyński<sup>24</sup> dowódca 5. kompanii 13. pp. Poszliśmy dalej.

Przedtem poszło kilku na ochotnika, aby zbadać jakie siły bolszewickie są w tej wiosce, chyba to była wioska Studzianki, której nazwy nie zapisałem, bo nie było czasu zapytać się kogoś o to. Skradaliśmy się z dala od siebie, idąc brudami wzdłuż miedzów i dróg polnych. Okazało się, że bolszewicy opuścili już i wioskę i resztki ich uciekają do lasu po drugiej stronie wsi. Gdy dopadłem pierwszego

<sup>23</sup> Postać bliżej nieznaną.

<sup>24</sup> Mikołaj Poszepczyński - oficer 13 pp podczas wojny polsko-bolszewickiej i w latach 20-tych. Brak bliższych danych.



domu, usłyszałem okropne krzyki i jęki. Sądziłem, że tam bolszewicy jeszcze są i mordują całą rodzinę. Gotowy do strzału zajrzałem w okno od strony ogrodu. Widzę jak starzy, młodzież i dzieci tarzają się po podłodze, rwąc włosy z głowy ze strachu i wyjąc wściekle ze strachu albo wzywając boskiej pomocy.

Zastukałem w szybę i zawołałem: „Wody!”. Krzyk powstał w chałupie jeszcze większy. Znowu wołam u drzwi zamkniętych: „Wody! Dajcie wody! Pić!” Nareszcie drzwi się otworzyły i stary gospodarz, cały trzęsąc się ze strachu, stanął w progu. Na powtórne żądanie podał kubek z wodą. Piję. W domu lament cichnie. Rozlegają się szepty: „To nasi już! Nasi! Polskie wojsko!” Stary się pyta, czy nie napiłbym się mleka. „Dawaj!” krzyczę. Baba podaje mleko z całą dzieżką. Piję dzieżką. We wsi jeszcze są bolszewicy i strzelają do naszych. Ja piję. Wypiłem ze dwa litry. A ponieważ przed chwilą wypiłem już z litr wody, przeto tak jestem pełny, że omal stoję na nogach. Tak uczułem się ciężki, pełny i wściekle głodny. Zobaczyłem uciekających tuż drogą kozaków na koniach, klękam i otwieram na nich ogień. Oni uciekli. Zbliżam się pod drzewo. Leżą pierzyny i\ pościel. Jest i kosz. W nim widzę suche kawałki zamolalego chleba. Obok leżą zgnięte ulęgalki. Łapię chleb, jem go i aż dym idzie z pleśni. Zagryzam zgniłymi ulęgalkami. Ogromnie to smaczne jedzenie, taki chlebek, dar Boży! Zjadłem go tak chciwie, że nie miałem czasu na strzelanie. A że czas naglił, a chleb z ulęgalkami tak smaczne były, więc na drogę zabrałem tej żywności pełne kieszenie. Potem podszedłem do płotu przy drodze, przyklepiłem, oparłem o płot karabin i podwójnie zacząłem pracować: co nabój wstrzele w kozaków, którzy już zastąpili piechotę, to drugi raz ręka prawa musi nieść do ust kawał ułamanego suchara z ulęgalką.

Tę pamiętną chwilę dla mnie w życiu wykorzystałem najlepiej: „poczwórnie”, bo klęczałem, jadłem, strzelałem i płakałem jednocześnie. I dziwna rzecz. Płakałem, ale sam nie zdawałem sobie sprawy, czego płaczę. Nawet później nie mogłem sobie wytłumaczyć tego faktu. Czy płacz ten pochodził ze smutku, żalu, bólu, radości? Nie wiem. Pamiętam, że byłem bardzo zmęczony, głodny wciąż, a poza tym czułem się swobodnie i wesoło na duszy. Za jakiś czas nadeszła już cała pierwsza linia tyralierska nasza i zaczęliśmy ścigać nieprzyjaciela. Po wyparciu wojsk sowieckich z okopów za Wyszkowem, zwycięsko szliśmy naprzód aż do Łomży. Później skierowaliśmy się ku Ostrołęce i po zdobyciu jej znaleźliśmy się w Puszczy Myszynieckiej. Wreszcie dnia 23 sierpnia 1920 roku stanęliśmy na granicy polsko-pruskiej<sup>25</sup>.

Przez cały ten czas naszego ataku większego starcia nie było. Ucierpieliśmy natomiast z powodu bardzo forsownych marszów i braku żywności. Każdy żołnierz żył tylko tym, co sobie sam zafasował u gospodarzy na wsi. Posuwaniu się ku granicy towarzyszyły nam czasami ulewne deszcze. Bywało tak, że często

podczas postoju w lesie, gdy się położyłem na murawie we wszystkim umundurowaniu i z bronią w rękę, a z plecakiem pod głową, to tylko słyszałem przez sen jak krople deszczu pukały po czapce, kołnierzu i całym płaszczu. A skoro się przebudziłem, to byłem przemoczony nie tylko z wierzchu, ale i od ziemi, na której stała kałuża wody. Jakoś się nie przeziębilem.

Podczas naszej ofensywy wiele nam pomaga lud wiejski. Blisko samej Łomży wieśniacy zdobyli sami obóz bolszewicki, żołnierzy rozproszyli lub powiązali, a samego komisarza obozu i jego komunistów zabili. Tak, że zanim myśmy przybyli, to już obóz był zdobyty i chowano na polu komisarza obozu i innych zabitych. Obóz liczył około 250 koni bolszewickich, 100 wozów, kuchen i innego taboru. Ciekawe jest to, że na powózkach zdobytych już nic nie było. Wszystkie były puste. Prawdopodobnie oczyścili je wieśniacy.

Jak wielki czułem kontrast, gdy przechodziłem przez most w Ostrołęce z wojskiem, od tej chwili, kiedy przechodziłem przez ten sam most ze szkołą, w czasie spokojnym, razem z kolegami i nauczycielstwem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Koedukacyjnego w Pułtusku na wycieczkę szkolną na Kurpie. Również jest wielki kontrast między wsią polską a niemiecką. Znad granicy widać po jednej stronie ciche chatki polskie, kryte słomą, otoczone drzewami, najczęściej dzikimi. Po drugiej stronie stoją już okazalsze budowle, kryte czerwona dachówką lub blachą domy wsi niemieckiej. Kurpie to lud cichy, spokojny, bardzo pobożny, rzetelny, przesydny, do wojsk polskich dobrze się odnoszący, kocha swe stroje, zwyczaje, obyczaje, wolny. Jednak brak u niego oświaty. Ciemny.

## Odwrót od granicy pruskiej

Gdy cała pierwsza armia polska dotarła do granicy pruskiej za Ostrołęką, przecięła odwrót wszystkim wojskom sowieckim, które atakowały Płock i były najdalej wysunięte na północny-zachód swojego frontu. Bolszewicy zmuszeni byli uciekać przez granicę do Prus. W ten sposób uniknęli niewoli polskiej i ostatecznej klęski. Gdy staliśmy na granicy, jeszcze spodziewaliśmy się ataku kawalerii sowieckiej od strony Przasnysza i Chorzel<sup>26</sup>. Tymczasem bolszewicy byli już w Prusach.

Na granicy za Ostrołęką staliśmy 4 dni. Kiedy niebezpieczeństwo już nam nie groziło, wtenczas nasza I-sza armia otrzymała rozkaz przerzucenia się na front ukraiński. Zaraz też odmaszerowaliśmy ku Ostrołęce, a następnie do Kaczyn<sup>27</sup>, gdzie bawiliśmy przez kilka dni. Przez ten czas moja 5-ta kompania była trzy razy u kąpieli w Ostrołęce. Łaźnia ta jest niezłe urządzone. Odmarsz nastąpił 31 sierpnia przez Ostrołękę, Różan<sup>28</sup>, Szelków, Pułtusk, Zegrze i do Jabłony<sup>29</sup>. Pierwszego września nocleg

<sup>26</sup> Chorzele - miasto w pow. przasnyskim, ok. 20 km na północ od Przasnysza.

<sup>27</sup> Kaczyn - obecnie dzielnica Ostrołęki.

<sup>28</sup> Różan - miasto w pow. makowskim, ok. 30 km na półn-wschód od Pułtuska.

<sup>29</sup> Jabłonna - wieś gminna w powiecie legionowskim, ok. 20 km na północ od Warszawy.

wypadł dla mojej 5-tej kompanii 13 pp pod dowódcą pana ppor. Poszepczyńskiego w Nowym Szelkowie, a 2 września około godziny 11-tej rano maszerowaliśmy przez Pułtusk. Rano przed wymarszem z Szelkowa zapisywał służbowy ludzi na przepustkę do Pułtuska na kilka godzin. Kto z żołnierzy się zgłosił do raportu, ten przepustkę otrzymał. Ponieważ stałem rano na posterunku, więc się nie zgłaszałem o przepustkę i później takowej nie otrzymałem.

Przykro mi było, gdym patrzył za odchodzącymi kolegami i nie mogłem pójść z nimi do Pułtuska. Wszak i ja miałem w Pułtusku wiele osób i bliskich i drogich memu sercu. Musiałem pozostać w kompanii. Dlatego też cała droga od Szelkowa do Pułtuska i przez miasto była mi jedną męczarnią. I im bliżej był Pułtusk, tym większy niepokój wzrastał w mojej duszy. Wreszcie zbliżamy się już do Świętego Krzyża. Już z oddali ujrzałem idące naprzeciw nam gimnazystki z kwiatami w rękę, które wzrokiem wyszukiwały braci, kolegów i znajomych w szeregu, a na powitanie rzuciły na nich pęki kwiatów. Za chwilę zobaczyły i mnie, poznały, rzuciły wiązanek kwiatów i głośno i mile pozdrowiły. Ja, będąc pod wielkim wrażeniem tej chwili, nie mogłem słowa wymówić. Na odpowiedź skłoniłem się tylko i pomaszerowałem dalej...

Wreszcie na wprost cmentarza cały 13-ty pułk zatrzymał się i był półgodzinny odpoczynek. Gdy siadłem nad rowem, czułem, że coś rozsadza mi piersi i jakaś siła pcha mię naprzód, ku miastu, w którym posiadam tyle wspomnień miłych, może najmiłszych z minionych dni mojej młodości. Nie mogę usiedzieć na rowie. Wstaję, proszę do pomocy pana ppor. Poszepczyńskiego, dowódcę mojej 5-tej kompanii i idziemy do dowódcy II-go batalionu p. kapitana Herconia<sup>30</sup>, aby u niego wyjednać przepustkę do miasta dla mnie. Pan ppor. Poszepczyński poparł moją prośbę. Pan kapitan, człowiek zda się ludzki, nie dał się długo prosić, bo po wysłuchaniu mojej prośby, sam zwraca się do mnie i prosi mnie o zwolnienie dla siebie. A ponieważ pana kapitana nie zwolniłem, więc też i on odprawił mnie z niczym do kompanii.

Teraz już ostatecznie pogodziłem się z rozkazem, siadłem na rowie i odpoczywałem wśród swoich kolegów. Ten odpoczynek był dla mnie najboleśniejszy, ponieważ byłem tak blisko swoich, a nie mogłem być razem z nimi. Następnie bardzo przykro mi było, że na spotkanie wojska wyszły tylko gimnazystki, a z seminarzystek nie była żadna, które tak pragnąłem widzieć jako koleżanki z ławy szkolnej. Wreszcie myśli moje rozproszył donośny głos dowódcy pułku swoim: „powstać! maszerować!” Już idziemy. Przechodząc ulicą Tadeusza Kościuszki starałem się wszystko zobaczyć i wszystko powitać. Patrząc na szkołę, staram się wzrokiem przebić ściany muru, by tam wewnątrz ujrzeć ławki, na których siedziałem, tablicę, na której pisałem, a najważniejsza ujrzeć kolegów i koleżanki oraz nauczycieli albo choć cienie po nich pozostałe na ich

<sup>30</sup> Mikołaj Hercuń – adiutant II batalionu, następnie jego dowódca. W latach 20-tych oficer rezerwy.

<sup>25</sup> 13 pp osiągnął graniczną miejscowość Łączki (obecnie gm. Łyse, pow. Ostrołęka) 25 sierpnia, po czym skierowany został w okolice Ostrołęki w celu reorganizacji.

miejskach.

Wtem w przedśionku seminaryjnego budynku ukazała się głowa, pokryta srebrnym włosiem, a za nią wysunęła się cała drobna postać mojej wychowawczynie pani Julii Rosnowskiej. Czcigodna ta staruszka widać przeczuwała, że tędy będą powracać z frontu jej wychowankowie, więc stanęła w progu i wzrokiem starała się ich wyszukać. Gdy nadszedł nad nią, skierowała na mnie swój wzrok, ja się ukloniłem, zdjawszy nawet czapkę, zapominając zupełnie, że jestem w szeregu wojska polskiego. I o dziwo! Przecież patrzyła na mnie, sam to widziałem, a jednak się nie odkłoniła. Chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem. Dalej, jakby dla spotęgowania uczuć obok pani Rosnowskiej ukazała się druga nauczycielka pani Zubelewicz Antonina, matematyczka z filizanką w ręku, w której coś mieszała łyżeczką. Musiało być w tej filizance coś smacznego, bo zapach jaki z niej uderzył, czułem jeszcze po wyjściu z miasta.

Tak przemaszerowałem przez Pułtusk, którego ulice jeszcze były zasłane słomą i śmieciami, nic się nie dowiedziawszy o tutejszym życiu, które mię tak bardzo interesowało. Coś niecoś dowiedziałem się dopiero od kolegów, którzy byli w mieście za przepustką. Tego dnia uszliśmy 25 km. Zatrzymaliśmy się w Jabłonnie. W czasie postoju w Jabłonnie jeden z kolegów - żołnierzy zachorował na ciekawą chorobę. Oto w ciągu kilku godzin raptem wystąpiły na niego bąble wielkości gołębic jajek na całym ciele. Chłopak dał się wniebogłosem z bólu i wył jak zwierzę. Tak bardzo cierpiał, że prawie oszalały skamlał nas, abyśmy go dobili. Naturalnie nikt tego nie uczynił, choć szczerze mu wszyscy współczuli. Przywołany doktor wojskowy orzekł, że zanadto się obzał. Zupełnie go nie ratował. Po kilku dniach żołnierz wrócił do zdrowia. Nazwy choroby nie znam. Miała to być choroba zołądkowa. W kilka dni później wsiedliśmy do pociągu w Jabłonnie i rozpoczęła się jazda koleją.

## Podróż koleją

Z Jabłonny jechaliśmy przez Warszawę, Żyrardów, Piotrków, Częstochowę, Kraków, Drohobycz, Bochnię i Stanisławów<sup>31</sup>. Cały pułk wysiadł w Stanisławowie. W czasie tej podróży po południowej części Polski zwiedziłem wiele cudnych okolic i dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Dojeżdżając do Częstochowy, już z dala widziałem klasztor Jasnej Góry. A im bliżej jesteście miasta, tym więcej i częściej spotykasz pobożnych pielgrzymów, którzy ciągną z najdalszych okolic, zakątką Polski do tego miejsca cudami wstawionego, by tu podziękować Najświętszej Marii Pannie za szczęśliwe ocalenie kraju przed wrogiem. W Krakowie rzeka Wisła zdaje się być odmienna niż gdzie indziej. Jej fale niegdyś w tym miejscu pochłonęły Wandę, naszą

<sup>31</sup> Stanisławów - Stanisławów - w okresie II Rzeczypospolitej miasto wojewódzkie we wschodniej Galicji. Obecnie miasto obwodowe na Ukrainie (ok. 205 tys. mieszkańców), od 1962 r. noszące nazwę Iwano-Frankowsk.

królową. Kraków o wąskich ulicach, zbudowany na wzór miast średniowiecznych zda się dumać o przeszłości.

Od Krakowa do Stanisławowa po prawej stronie toru kolejowego ciągnie się cały łańcuch górski i wyżyn południowych z milionem mniejszych i większych garbów oraz zapadłości. Wszystko to jest pokryte sosną i krzewami, a tylko gdzieniegdzie widać nagi czub zwietrzałej skały oraz kawałki pól uprawnych. Również leżą gęsto usiane, ciche wioski na pochyłościach. Gdzieś daleko, daleko widać, jak łańcuch górski wspina się wysoko i swym czołem pruje chmury. I tam to właśnie, gdzie się te szczyty górskie zlewają z chmurami, tam jest naturalna granica naszej Ojczyzny. Ach, cudna jest ta część południowa Polski! Szczególnie rankiem i pod wieczór, kiedy to w oddali hen można widzieć jak przez mgłę kontur zarysowujących się Tatr!!! Gdyby to widział miłośnik i wielbiciel piękna, to na pewno uznałby tę część Europy za najcudniejszą, a jeśliby to był poeta, wygłosiłby rymy. Lecz szary żołnierz, wyczerpany fizycznie, znużony nie może tego piękna oddać i mija obojętnie najciekawsze krainy naszej Matki-Polski.

Nareszcie chłodnym rankiem stanęliśmy w Stanisławowie<sup>32</sup>. Było nam szalenie zimno. Przeważnie bosakom dało się we znaki, między którymi i ja byłem. Tern bardziej odczuwałem zimno w nogach, że nie byłem do tego przyzwyczajony. A jednak musiałem maszerować boso. Stało się to tak. Jeden mój kolega z sekcji, starszy szeregowiec nazwiskiem Synowiec<sup>33</sup> z Krakowa służył już osmy rok w wojsku, a jeszcze nie był ni razu u rodziców na urlopie. Synowiec dawniej służył w armii austriackiej. Teraz w przejeździe przez Kraków chciał wstąpić do rodziców, ale był boso. Prosił kilku kolegów o buty, lecz ci mu odmówili. Poprosił w końcu mnie i dałem mu, jednak pod warunkiem, że za pół godziny zwróci mi kamasze. Poszedł. Tymczasem upłynęło pół godziny, potem cała godzina, a Synowca z kamaszami nie ma. Już i pociąg z nami odszedł, a Synowiec pozostał w Krakowie. Dlatego też całą podróż z Krakowa do Stanisławowa odbyłem boso. W pociągu dokuczało mi zimno w nogi. Byłem zły na Synowca za to, że mię tak wykiwał. Postanowiłem go zwymyślać, a nawet pobić jeśliby się dało.

W Stanisławowie w dwie godziny po przyjeździe szliśmy przez miasto, ja boso; co prawda - to bosaków było prawie pół kompanii. Za Stanisławowem do ataku szedłem również boso, bo dopiero na 3-ci dzień Synowiec zwrócił mi kamasze. On też wielkich korzyści z moich butów nie miał, bo okazały się za małe. Chodził też boso, a kamasze nosił na plecach. Oddał mi je w chwili, gdy w pewnej wiosce, po jej zajęciu, szykowałem się wieczorem do snania pod stogiem siana. Przygotowałem już dziurę w stogu i miałem przez noc wygrzewać swoje zimne nogi. Na widok kamaszów nie tylko nie zwymyślałem Synowca, ale byłbym go rad nawet ucałować z radości. Skorzystałem jeszcze tyle, że od matki przyniósł mi nowe onuce. Po włożeniu

<sup>32</sup> Było to 10 września.

<sup>33</sup> Być może tożsamy z plut. Janem Synowcem, odznaczonym orderem *Virtuti Militari* V klasy.

kamaszów na nogi byłem tak wesoły i czułem się tak silny, że teraz już nie bałem się całego wojska sowieckiego. Noc przespałem spokojnie.

## Z frontu południowego

Zaraz za miastem Stanisławowem, po przejściu przez rzekę Dniestr przypuściliśmy atak na okopy austriackie, w których obsadzili się bolszewicy<sup>34</sup>. Bezpośredni atak na tę fortecę byłby zupełnie niemożliwy, a skutki jego z naszej strony byłyby straszne w ludziach. Przez Dniestr był przerzucony tymczasowy most, który przypominał zwykłą kładkę o szerokości trzech, dwóch, a nawet jednej deski, położonych na kozłach. Aż strach było przechodzić po takim moście. Żołnierze szli przez most gęsiego, to znaczy jeden za drugim. Szliśmy szybko. Może we dwie godziny po wylądowaniu wojska z pociągu już przechodziliśmy rzekę i zaczęliśmy atakować bolszewików.

W tym czasie wody Dniestru opadły i płynęły środkiem koryta rzeczno. Do tego stopnia, że jarem Dniestru, to jest między burtą a samą wodą można było maszerować. Dlatego też zaczęliśmy posuwać się prawie korytem Dniestru w dwie przeciwne strony, by okrążyć okopy i uderzyć na baciuchów z tyłu. Pomysł ten ślicznie się udał, bo nie straciliśmy ni jednego żołnierza, a nieprzyjaciel chcąc wymknąć się z naszego pierścienia, zostawił wiele maszynek i z duszą musiał uciekać. Stawił nam opór dopiero pod starym miastem Haliczem<sup>35</sup>, na żywej ziemi. Nasza 13-ka po okopaniu się odparła kilka ataków nieprzyjacielskich w ciągu dnia i nocy. Dziwna to jednak była tam wojna, gdyż my Polacy tak daleko lekceważyliśmy wroga, ufni w powodzenie, że kiedy huk strzelaniny ucichł, to w naszej 13-ce żołnierze rozbierali się i kapali w wodzie zebranej w dołach wyrwanych przez bomby. Tego dnia kąpałem się i ja także oraz prałem chusteczki i bieliznę, którą niestety na drugi dzień musiałem mokrą dźwigać w plecaku. Po skończonym praniu tego dnia również napisałem list do koleżanki Szablowskiej Eugenii, uczennicy seminarium pułtuskiego.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy naprzód i odtąd stale szliśmy bezustannie. Marsze odbywały się batalionami w pełnym szyku głównym traktem. Polacy maszerowali we dnie, a bolszewicy przeważnie uciekali nocą. I tak było: co my pod wieczór dogonimy baciuchów, zatrzymamy się, by odpocząć przez noc, a rano rozpoczynamy atak, to ich już nie ma i znów musimy gonić cały dzień, by pod wieczór być znów na ich tyłach. Doszło to tego, że cały 13-ty pp siał na zabrane po drodze we wioskach podwoły i z bronią naładowaną oraz gotową do strzału jechał po całych dniach. Żołnierze nawet narzekali na taki sposób walki, każdy wołałby siedzieć w okopach lub postać

<sup>34</sup> Chodzi o walki II batalionu na przyczółku mostowym pod Jezupolem, wsią w obwodzie iwanofrankowskim, rejonie tyśmienickim.

<sup>35</sup> Halicz - miasteczko nad Dniestrem w obwodzie iwanofrankowskim (ok. 6 tys. mieszkańców).

swój czas na wedecie, aniżeli te ciągle forsowne marsze. W ten sposób przeszliśmy w ciągłym ataku od Stanisławowa przez Halicz, Podhajce<sup>36</sup>, Tarnopol<sup>37</sup>, Zaslów<sup>38</sup>, Szepetówkę<sup>39</sup>, Ostropol<sup>40</sup> i Lubar<sup>41</sup>.

Ostatnią bitwę przed zawieszeniem broni 13-ka stoczyła pod Lubarem. Ta bitwa kosztowała nas drogo! Jeszcze krwawszą bitwę miała 13-ka niedaleko miasta Podhajce, zdaje się w pobliżu Złotej czy Zgniłej Lipy<sup>42</sup>. Tam był ciekawy i dziwny wypadek. Oto mój drugi batalion, w którym byłem, posuwał się traktem pierwszy na przodzie, po bokach mając własne ubezpieczenie. Pierwszy batalion był gdzieś na prawo od nas, a trzeci batalion posuwał się za nami tym samym traktem w odległości może 8 do 10 km. Nasz II-gi batalion szedł pierwszy, przewędrował las spokojnie i nieprzyjaciela nie spotkał. Kiedy nadszedł III-ci batalion, to w lesie pod Podhajcami na tym samym gościńcu, po którym przed półtora godziną maszerowaliśmy, nagle napadli na nich kozacy i wycięli prawie cały batalion, tak że z 10-tej i 11-tej kompanii podobno pozostało przy życiu kilkunastu ludzi, którzy uciekli w las. Dziewiąta kompania ucierpiała najmniej, bo zdołała się rozpiechnąć po lesie. Kozacy rozbiwszy III-ci batalion, zabrali jeńców, tabory i całą baterię armat podgórskich, nowo przydzielonych 13 pp, wreszcie gdzieś tak uszli, że myśmy ich nigdzie nie widzieli. Wprawdzie słyszeliśmy w tyle strzały, ale to się działo krótko i nasz p. kapitan Rój<sup>43</sup>, wówczas dowódca 13 pp, sądził, że to na pewno nasi spotkali gdzieś kilku pozostałych maruderów bolszewickich zabłąkanych w lesie za nami. Kiedy krótka strzelanina ucichła pomaszerowaliśmy dalej, pozostawiając własnemu losowi nieszczęsny III-ci batalion. Zupełnie nie wiedzieliśmy, że tam na niego w tej chwili napadło podobno aż trzy pułki

<sup>36</sup> Podhajce - obecnie miasto rejonowe w obwodzie tarnopolskim na Ukrainie.

<sup>37</sup> Tarnopol - obecnie miasto obwodowe na Ukrainie (ok 222 tys. mieszkańców).

<sup>38</sup> Zaslów - miasto nad rzeką Horyń w obwodzie chmielnickim.

<sup>39</sup> Szepetówka - miasto w obwodzie chmielnickim na Ukrainie, ok. 30 km na zachód od Połonnego.

<sup>40</sup> Ostropol - miasteczko nad rzeką Slucz w obwodzie chmielnickim, ok. 18 km na pld. od Lubara.

<sup>41</sup> Lubar - miasto rejonowe nad rzeką Slucz w obwodzie żytomierskim.

<sup>42</sup> W rzeczywistości chodzi o stoczony 16 września przez III batalion 13 pp bój pod Dyjtatnem, zwany „polskimi Termopilami”, kiedy to batalion przez 8 godzin powstrzymywał rosyjskie natarcie, ratując 8 DP przed okrążeniem. Starty osobowe III batalionu wyniosły ponad 90%. W. Kocot, pisząc z pozycji zwykłego żołnierza-ochotnika, nie orientował się w sytuacji taktycznej, natomiast przekazał nam pierwsze opinie o bitwie pod Dyjtatnem, krążące wśród żołnierzy 13-stki.

<sup>43</sup> Jan Józef Rój (ur. 1889 w Szczucinie k. Tarnowa) - dowódca II batalionu 13 pp, następnie w dniach 15.06.1920 - 9.07.1920, 21.07.1920 - 29.07.1920 i 19.09.1920 - 9.10.1920 r., dowódca 13 pp. Wielokrotnie odznaczany za męstwo.

kawalerii bolszewickiej, która wpadła jak piorun niespodzianie i rąbała szablami.

Brak było łączności. Tu leży cała nasza wina. Za mało byliśmy ostrożni i pewni siebie. Tylko brak łączności między batalionami naszego 13 pp spowodował tę klęskę III-go batalionu. Tem bardziej, że teren tamtejszy dla kawalerii jest arcydoskonały, cała okolica usiana stromymi pagórkami, jarami, porośniętymi gdzieniegdzie dębowym laskiem. W takiej okolicy należy się zawsze liczyć z możliwością niespodziewanego ataku kawalerii. Oceniając sytuację po swoim, sądzę, że nie byłoby klęski III-go batalionu 13-ki pod Podhajcami, gdyby wiedziały o napadzie I-szy i II-gi batalion i gdyby na czas pośpieszyły z pomocą. Uważam, iż przyczyną nieszczęścia był brak łączności. To należało przede wszystkim do dowódcy pułku.

Na Podolu i Wołyniu odnośnie terenu przeważają nierówności. Maszerowaliśmy ciągle albo pod górę albo z góry. Tak samo jest na Ukrainie. Początkowo uważałem, że o wiele łatwiej jest schodzić z góry w dół. Tymczasem jak przyszło mi stale schodzić i wchodzić, przekonałem się osobiście, że lepiej jest wchodzić pod górę. Schodzenie z góry jest bardziej męczące. Tamtejsza ludność przyzwyczajona do takiej podróży nie przejmuje się wiele tym, czy schodzi z góry, czy też wchodzi pod górę. A jak ładnie popatrzeć, gdy tamtejszy gospodarz zjeżdża z góry w swoje małe, krepie koniki! Jak konie umiejętnie idą! Schodzą wolno, a raczej suwają się jakby przysiadają na zadach, omal nie pękają naszelniki<sup>44</sup>. Zjadą wolno nawet ze stromej góry. Nasze konie mazowieckie chybały się pokaleczyły i pozabijały razem z furmanem. Prawda, że i uprząż jest do takiej jazdy przygotowana, przystosowana.

Wioski rozciągają się na zboczach tych pagórków dość duże, gdyż niektóre ciągną się i kilka wiorst. Domy tam są podobne do gniazd jaskółczych, gdyż podobnie jak one ulepione są z gliny zmieszanej ze słomą i nawozem, by się lepiej trzymała. Stodół nie mają, a zboże i siano układają na podwórzu w sterty, stogi i kopy. Obory i stajnie są pod jednym dachem z domami mieszkalnymi. Zboże młocą na podwórku i to najczęściej kobiety. Ziemi mają gospodarze niedużo. Ten gospodarz, co posiada trzy „dziesiątyny”<sup>45</sup>, uważa się za bogacza. Wszędzie czarnoziem, na którym nawóz jest zbyteczny. Toteż składają nawóz na kupki przed domami, ten przez lato suszy się i potem służy jako opał. Ponieważ lasów tam nie ma, więc jako opał służy właśnie ten wysuszony nawóz i słoma.

Kuchni na Ukrainie nie ma, a tylko pałą w piecach, jak u nas do chleba. Stawiają na gorącym trzonie w glinianych dziezkach podobnych do urn „bara-bole” i inne pożywienie i tak gotują. Kobieta przyniesie snopek słomy, położy go na ziemi, rozwiąże i bierze garść słomy, zwiąja ją w twardy wiecheć, aby się dłużej palił i kładzie go na trzon pieca przy garnkach. W ten sposób

<sup>44</sup> Naszelnik - część uprzęży łącząca konia z dyszlem.

<sup>45</sup> Dziesiątina - rosyjska miara rolna, licząca w przypadku dziesiątyny dużej 14 567 m<sup>2</sup> tj. 1,4567 ha, a w przypadku dziesiątyny malej 10 925 m<sup>2</sup> tj. 1,0925 ha.

gotują. Kartofli czyli baraboli nie obierają, a tylko je na pół upieką, na pół ugotują i tak wysypują na miski, zdejmują każdy ze swego skórki i z kwaszonym ogórkiem smacznie zjadają. Kartofle z ogórkami i chleb z mlekiem, a także pierogi z byle czego są najczystszy ich pokarmem. Łóżek nie mają. Sypiają wszyscy razem na „Pieczkach”. Domek z zewnątrz i wewnątrz starają się zachować czysto. Co jakiś czas domek maszczą gliną i bielą wapnem oberwane i popękane miejsca. Wewnątrz ściany i obrazy przystrajają zielenią. Również dla piękna pod samym sufitem na desce stawiają cały szereg talerzy różnokolorowych.

Między Rusinami mieszka niemała ilość Polaków, którzy w niczym się nie różnią od Rusinów. Prawie w każdej wiosce jest cerkiew i to najczęściej nowa, w ostatnich latach stawiana. Polacy wszędzie mile witali nas i prosili Boga, by te części, zajęte przez nasze wojska, należały na zawsze do Polski. Uskarżali się, jak i cała ludność tamtejsza, że podczas obecności bolszewików nie mieli ani soli, ani zapalek, ani mydła i wiele innych najpotrzebniejszych artykułów pierwszej potrzeby. Zawsze mawiali: u Polaków wszystkiego jest pod dostatkiem i oczekiwali ich. A Polacy teraz szli wyczerpani ciągłym marszem, głodni, nie mogli nigdzie dogonić wroga, podobnie jak armia Napoleona w roku 1812.

Przez cały czas swego pobytu na froncie znajdowałem się zawsze w pierwszej linii ataku, zaś podczas ostatniej bitwy przy zdobywaniu miasta Lubara mój batalion drugi znalazł się w rezerwie. I okazało się, że tu było najniebezpieczniej. Tu o mało nie straciłem życia, jak wielu moich kolegów. Kule armatnie, bomby i szrapnele padały akurat po samej tyralierze rezerwy. Następnie maszynki, które podobno były ustawione na dzwonnicy w Lubarze, również siały gradem kul tylko po rezerwie, która stale musiała podążać i posuwać się naprzód za pierwszą linią. Okropnie jest patrzeć na umierających kolegów w polu, trafionych nieprzyjacielską kulą.

Najbardziej żałowałem mojego plutonowego nazwiskiem Morusa<sup>46</sup>, który ugodzony jednocześnie trzema kulami: w szyję, piersi i głowę, zdołał jedynie wykrzyknąć „och!” i padł na wznak tuż przede mną, konwulsyjnie kopiąc nogami ziemię kilka razy i rozkładając szeroko ramiona. Z ręki wypadł mu karabin z nałożonym bagnetem, czapka spadła z głowy, a plecak wpadł pod głowę. Jeszcze nie skołał a już do niego przyczołgał się jeden z kolegów, a jego podwładny i ściągnął mu pierścień z palca i odpinał z ręki zegarek, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Gdy krzyknąłem na niego, to stawił mi się hardo i kazał być cicho. Tłumaczył, że będzie miał pamiątkę po panu plutonowym Morusie. Zaś jeśli on tego nie zabierze, zrobi to kto inny z żołnierzy, może zabitego wcale nie znajomy, więc jest lepiej, że on to zrobi. Na kule mało zważał. Ja na taką jego rację nic nie odpowiedziałem. Żał mi tylko było plutonowego Morusa, gdym patrzył na pianę, połączoną z krwią, wychodzącą z ust jego i tworzącą wspaniałą bukiet około jego ust. On podobno był już trzecim bratem

<sup>46</sup> Plut Jan Morus poległ pod Lubarem 16 X 1920 r.

zabitym na wojnie. Pochodził z dość zamożnej rodziny. Ale nie czas było wówczas przyglądać się dalej konającemu, więc poszliśmy dalej atakować z tym większym zapałem, by baciuchom odpłacić za kolegów i pomścić ich śmierć. Skoro bolszewicy zostali wyparci z okopów, uciekali w popłochu do Lubara, a my z nimi, chwytaliśmy ich po polu i po wszystkich uliczkach w mieście.

Wówczas wzięliśmy kilkudziesięciu jeńców z piechoty i kozaków. Nawet mogło być więcej niewolników, ale nasi żołnierze w szale wojennym zabijali i takich, którzy chcieli się poddać. Pamiętam jak u wylotu uliczki, od wschodniej strony Lubara bolszewicy widząc, że już są otoczeni ze wszystkich stron, rzucali karabiny, klękali na piachu, podnosili ręce w górę i wołali: „Panoczku, darujcie życie! U mienia jest dietie! Ja nie winowat!” Ja i drugi taki był, że oszczędziliśmy ich, ale nadlecieli inni i topili w nich bagnety, bez żadnego skrupułu. Toteż pozostali widząc, że i ich czeka śmierć, w ostatniej chwili zrywali się jeszcze, chwytali z powrotem „swoju gwintowku” i w rozpacz walczyli do upadłego. Zresztą, myśmy im tylko odpłacali za naszych pomordowanych kolegów. W ogóle na froncie w takiej bitwie żołnierz jest tylko rozjuszoną zwierzęciem. Pamięta tylko o jednym, że jeżeli on nie zabije swojego przeciwnika, to on jemu śmierć zgotuje.

Po bitwie w Lubarze, po dość krótkim odpoczynku w punkcie zbornym, gdzieś w środku miasta, nasza 5-ta kompania z dowódcą panem ppor. Poszepczyńskim wyruszyła dalej, by ścigać uciekających komunistów. Szliśmy tyralierą już przeszło dwie godziny i nigdzie nie było widać nieprzyjaciela. Pan ppor. Poszepczyński szedł pierwszy pośrodku tyralierzy z rewolwerem naładowanym w jednej ręce, a ze szpicrutą w drugiej i tą ostatnią wskazywał nam kierunek marszu. Widoczny był dla całej 5-tej kompanii. Za nim szliśmy jak rodzina za ojcem i powtarzaliśmy jego ciche, ale stanowcze rozkazy. Ppor. Poszepczyński był bardzo dzielnym oficerem 13 pp, a my żołnierze jego kompanii bardzośmy go lubili.

Mieliśmy do niego zaufanie. I teraz idziemy z nim śmiało naprzód. Aż tu nagle po wyjściu z nieduzego lasu widzimy przed sobą na wzgórzu masę żołnierzy w odległości może 1 km. Dowódca kompanii pan ppor. Poszepczyński był pewien, że to 36 pp, który miał mieć łączność z nami na prawym skrzydle. Bolszewicy zaś, oni to bowiem byli, myśleli na nas, że to są resztki ich rozbitków spod Lubara. I tak podeszliśmy do nich może na ćwierć kilometra. Nagle na lewym skrzydle dały się słyszeć strzały karabinowe. Ktoś już strzelał z naszej kompanii 5-tej. Pan ppor. Poszepczyński natychmiast rozkazuje mnie i kol. Mołdysowi, staremu galileuszowi jeszcze z wojska austriackiego, abyśmy sprawdzili kto strzelał i do kogo. Mołdyś, którego zażerały wszy, jak na robactwo był już nieczuły, tak i na rozkaz reagował. Jednakowo. On chciał zginąć, jak często mawiał, a kule go oszczędzały. Poodparzał obie nogi i chodził wciąż boso, ale jak jaki sierota.

Zanim on zrozumiał rozkaz i po swojemu ruszył z miejsca, byłem już w połowie drogi do strzelającego. Przy lasu spotkałem pana kaprala Paciorka, który był jako ubezpieczenie

na lewym skrzydle. On to właśnie strzelał do uciekających kilku kozaków, wyjeżdżających z lasu, w którym z powrotem utonęli. Po powrocie biegnę zmęczony, by zameldować panu ppor. Poszepczyńskiemu, wtem słyszę już z dala, jak przyciszonym głosem stary wiarus, sierżant sztabowy woła: „Panie poruczniku, cofajmy się, bo to bolszewicy”. Przystanął dowódca kompanii, zatrzymała się cała tyraliera nasza, a następnie na rozkaz podporucznika padła. On sam stał przez chwilę i lometował. Dopadłem do niego i zaczynam mu meldować wiadomość od kaprala Paciorka, a on podporucznik lometuje dalej, słucha mego meldunku i jednocześnie rozkazuje mi „Padnij!”

Byłem bardzo zmęczony biegiem, więc padłem z przyjemnością tuż obok pana porucznika, na czarną rolę. Oddychałem ciężko. Lecz nie poleżałem i minuty, gdy powtórnie słyszę głos sierżanta: „Panie poruczniku, korzystajmy z czasu i uciekajmy, bo żaden z nas nie wróci do pułku, bolszewików jest cała masa”. Teraz pan podporucznik Poszepczyński, który dotąd obserwował przez lornetkę, przekonał się osobiście, iż rzeczywiście są to bolszewicy i że jest ich bardzo dużo, więc zawołał rozkazująco: „Powstać! Wolno się cofać!” Zelektryzował taki rozkaz całą kompanię. Wracamy! Jeszcze nie uszliśmy kilku kroków, a bolszewicy już puścili po tyralierze pierwsze salwy z maszynek. Byli widać przygotowani na nasze przyjęcie. Otworzyli ogień na nas. Teraz już nasza wiara wrywa na dobre, a pan podporucznik za nami. Piorunem znaleźliśmy się w rowie przy gościńcu, który był w tyle o jakie trzy staja. Ppor. Poszepczyński rozkazuje: „Zatrzymać się w rowie! Padnij w rowie!” Ale gdzież tam! Wiara wrywa dalej i dalej. Część usłuchała rozkazu, padła w rowie czeka dalszego rozkazu. Większość zaś przesadziła rów i pędzi dalej w krzaki. My tu w rowie krzyczącym, że będziemy sami strzelać do uciekających, ale to nie pomaga. Uciekają dalej. Bolszewicy sięją po rowie i krzakach już gęsto. Dowódca kompanii widzi, że niedługo wszyscy uciekną, więc rozkazuje reszcie szybko się cofać. Teraz już każdy wieje jak może. I tak było, który był kulawy i w ataku szedł ostatni, teraz biegł pierwszy i wcale nie było znać, że on kuleje. Wyprzedzał wszystkich. Toteż zaraz za krzakami wszystko zmieszało się w kupę i jedni drugim przeszkadzali tylko w biegu. A nawet ci, co nosili maszynki, klócili się z nami i wołali, że im należy się pierwszym uciekać. Tak uciekała pierwszy i ostatni raz 5-ta kompania II-go batalionu 13 pp.

Tymczasem ściemniało się. Bolszewicy już strzelali rzadziej. Z powodu szarówki i krzaków już nie widzieli nas. Teraz obawiamy się już tylko kawalerii. Ta jak nadleci, tak wyrąbie całą kompanię. Tym bardziej, że wszystko znalazło się w takiej kupie około pana podporucznika, że nie tylko bieć, ale iść nie można było. Jakaś marna trwoga opanowała żołnierzy, że każdy chciał być w środku kupy. Wciąż oglądaliśmy się, czy nie jadą kozacy. Oni nie mogli nadjechać, bo tymczasem nadeszła gęsta mgła i pokryła całe pola. Ściemniło się. Noc nas uratowała. Pamiętam z całego mego pobytu, że tylko wówczas raz jeden wrywaliśmy, gdyż

niepotrzebnie co prawda nasza kompania zrobiła ten wypad. Zaszła tu pomyłka, przez którą omal nie została stracona nasza 5-ta kompania II-go batalionu 13 pp.

W ataku oderwaliśmy się od pułku z powodu stracenia łączności. Pułk już zatrzymał się na oznaczonej linii. Myśmy atakowali dalej. W pułku widać zapomnieli o 5-tej kompanii, która, uniknąwszy rozbicia przez nieprzyjaciela, mogła być rozbita przez swoich. W powrotnej drodze do Lubara, późnym wieczorem, w wielkiej ciemności, choć oko wykol, natknęliśmy się na wedetę i placówkę 13 pp, który poczytał nas za nieprzyjaciela. I mamy wielkie szczęście, że w porę daliśmy się poznać wedecie. W przeciwnym razie jeden strzał wedety i placówki mógłby spowodować otwarcie ognia w całej 13-ce. Wtedy bylibyśmy zgubieni od swoich. Tego dnia, to jest 16 października 1920 roku, przekonałem się jak strasznie demoralizuje żołnierzy choćby najmniejszy odwrót, ucieczka.

W Lubarze zjedliśmy spóźnioną kolację i znów pomaszzerowaliśmy naprzód. Marsz trwał całą noc. Nad ranem zatrzymaliśmy się w wiosce rozbudowanej na koloniach, a więc domy stały rzadko. Z tej wioski z wieczora poszli bolszewicy. Nocą był przymrozek i rankiem upadł pierwszy śnieg. Przysypał ziemię dość grubo. Spaliśmy w chałupie na podłodze, na słomie i jak zwykle od kilku miesięcy w umundurowaniu. Po przebudzeniu się pobiegłem na drugie podwórko po kawę, przyniosłem ją w menażce do mieszkania i jeszcze nie zdążyłem wypić, a tu słychać kilka strzałów w pobliżu.

Powstał alarm! Wszyscy chwyciliśmy za broń i byliśmy gotowi na pierwszy alarm, lecz po tych kilku strzałach wszystko ucichło we wiosce i my też wróciliśmy do mieszkania odpoczywać, wcale nie wiedząc, co się dzieje o ćwierć kilometra na drugim końcu wsi, gdzie stał trzeci batalion. Na trzeci batalion i teraz napadli kozacy niespodzianie i zabrali dziewiątą kompanię prawie bez strzału, którą zaskoczyli śpiącą w mieszkaniu i na górze, także kuchnię kompanii i dwie maszynki, stojące w podwórzu, a ich bez broni kozacy popędzili batami kłusem do okopów, znajdujących się tuż za laskiem na wzgórzu. Gdyby było dużo kawalerii naszej, bylibyśmy odbili ich, ale piechota nie mogła im już nic zrobić.

W takiej sytuacji nieszczęśliwy trzeci batalion znów stracił całą dziewiątą kompanię. Po tym co zaszło, cały 13-ty pułk piechoty, widząc się otoczonym prawie ze wszystkich stron, na rozkaz dowódcy pułku pana kapitana Roja, zaczął się wycofywać z wioski w kierunku zachodnim. Po opuszczeniu wioski, może na trzecim kilometrze, zatrzymaliśmy się na szerokim gościńcu, okopanym rowami. Zaczęliśmy odpoczywać batalionami po obu stronach traku. Wynioskowałem, że dowódcy 13-go pułku panu kapitanowi Rojowi szkoda było tracić opuszczonej wioski. Stał na gościńcu, otoczony oficerami pułku i myślał. Tymczasem my żołnierze całej 13-ki obserwowaliśmy wojska sowieckie, zwłaszcza piechotę, która na niedalekim wzgórzu roila się ponad okopami. Kozacy zaś, choć byli jeszcze daleko na horyzoncie, to wyraźnie było widać, że otaczają nas, galopują i będą chcieli znów urwać coś 13-stce.

Nasza kawaleria w sile jednego szwadronu była też przy nas. Niewielka to siła, ale i to dobre. Właśnie teraz, gdy cały 13 pp odpoczywał, 12-tu kawalerzystów naszych oderwało się od szwadronu, zjechało na prawo z gościńca, jechali z powrotem w stronę opuszczonej przez nas wioski, którą już zajęli bolszewicy. Widocznie otrzymali rozkaz zbadania mniej więcej, jaka ilość jest nieprzyjaciela. Ułani oddalają się od nas z każdą chwilą. Obserwujemy ich z zacięciem. Wreszcie wjechali w olszynki i znikli nam z oczu. Nie było ich widać z pół godziny. Aż nagle widzimy ich uciekających z tej wioski, którą rano opuściliśmy, a za nimi prawie tuż pędzących kozaków, tak że trzy setki. Czterech ostatnich ułanów naszych kozacy już dogonili, ścięli i pędzą za resztą dalej prosto na cały nasz 13-ty pułk piechoty. Na przedzie ułanów polskich jedzie zdaje się oficer, bodzie konia ostrogami, wali go batem. Pędzi co sił w koniu i jednocześnie wymachując batem, daje znam znać, abyśmy zabezpieczyli się od kawalerii. Widzimy to wszyscy wyraźnie. Zerwał się na rozkaz cały pułk i momentalnie ustawiliśmy się kompaniami gotowi do walki z nadjeżdżającą galopem kawalerią sowiecką. Pierwsze szeregi klęły i pochyliły karabiny z nałożonymi bagnetami, a drugie stały na lachach. Ja klęczałem na jednym kolanie i trzymałem karabin naładowany. Na razie obserwowaliśmy gonitwę kawalerii. Nie wolno nam było strzelać ze względu, iż wciąż jeszcze na przedzie uciekali nasi ułani. Niektórzy w 13-ce nie mogli już wytrzymać i strzelili ten i ów do kozaków. Wtedy oficerowie nasi walili lachami po łbach takich nieopanowanych gości. Każdy oficer stał przed swoją kompanią i krzychał na nas: „Nie strzelać!”.

Tymczasem nam się tu ręce wprost paliły do takiej masy pędzących kozaków. Patrzyliśmy. Co to za śliczny obrazek! Kozacy z podniesionymi szablami, błyszczącymi migotliwie w blasku słonecznego ranka już doganiają naszych. Widzimy pierwszego z kozaków, jak dopędził już ostatniego ułana polskiego, zamierzył się na niego i ciął silnie. Lecz koń kozacki widać jeszcze nie zdołał należycie zbliżyć się do konia ułana, więc szabla cięła tylko powietrze i odwalila koniowi część skóry około biodry. Nasz kawalerzysta zaś miał tyle przytomności i zimnej krwi, że po pierwszym cięciu kozaka obrócił się raptem, chwycił nabity sztucer i wypalił w samą pierś nieprzyjaciela, ten zwał się z konia, pozostawiając nogę w strzemionach, a koń zaś natychmiast zawrócił ku swoim, wlokąc po ziemi swego pana.

Reszta kozaków pędziła dalej za naszymi ułanami. I gdyby kozacy mieli czasu jeszcze z jakie pięć minut, tak wyłapałoby wszystkich sześciu pozostałych ułanów. Jednak zapędzili się już tak blisko naszej trzynastki, że naszych ułanów uciekających gościńcem można było już ominąć, więc na dany rozkaz zatrzymały nasze maszyny boczne i zaczęły siać popłoch w kozakach. Wszyscy pragnęliśmy strzelać, ale nie było rozkazu. Dowódcy wciąż zabraniali nam strzelać ze względu na naszych ułanów. Strzelały tylko maszyny pod rozkazami p. kapitana Szewczyka<sup>47</sup>, którego uważaliśmy za

najdzielniejszego oficera 13-ki. W tym czasie był dowódcą kompanii karabinów maszynowych. Kapitan Szewczyk ze swoją maszynką zawsze był postrachem dla bolszewików. Lubili go wszyscy żołnierze 13-ki i jednocześnie się go bali. Dla niego więc KKM<sup>48</sup> albo dzielnie wojowała albo jeszcze dzielnie śpiewała. W każdym natarciu, gdzie brał udział pan kpt. Szewczyk ze swoją maszynką, tam nigdy nie było strachu i szliśmy śmiało zawsze. I teraz skoro tylko szczęknęły jego maszyny, kozacy jakby na komendę raptem skręcili w lewo, zjechali w dolinę i poseskakiwali z koni. Uciekli. Przez jakiś czas obserwowaliśmy uciekających kozaków i ich piechotę daleko na wzgórzu od naszego stanowiska na prawo. Przerwano ogień. Odpoczywaliśmy dalej.

Bolszewicy nas na razie nie czepiali. Jednak widać było, że się przegrupowują i będą chcieli uderzyć na nas. Widocznie nie mieli na tym odcinku artylerii, bo gdyby ona tam była, dla nas byłoby marnie. Wystarczyło wtedy puścić w naszą kupę z kilkadziesiąt pocisków, my na pewno rozlecielibyśmy się w popłochu, a kawaleria dokonałaby dzieła zniszczenia. Widać przeczuł to pan kpt. Szewczyk, bo słyszałem jak rozmawiał głośno z dowódcą pułku panem kpt. Rojem, radząc się cofać natychmiast. Reszta oficerów milczała. Pan kapitan Rój lornetował i dumiał. Pan kpt. Szewczyk się niecierpliwił. Wreszcie pan kpt. Szewczyk już mówi głośno: „Panie kapitanie do diabła z tym marudzeniem! Korzystajmy z czasu i cofajmy się, bo nas okrążają i wyłapią nas jak myszy w pułapce”. Na to dowódca pułku: „Powoli, powoli panie kapitanie! Nie gorączkować się, będzie dobrze”. W ten sposób pod naciskiem i racją kapitana Szewczyka cały 13 pułk piechoty, widząc, że tych placówek nie utrzyma, powoli cofał się na zachód, lecz pod wieczór znów wyruszyliśmy zająć poprzednie stanowiska.

Po przybyciu do wioski, gdzie staliśmy rano tego dnia, cały pułk znowu odszedł gdzieś, z wyjątkiem naszej 5-tej kompanii. Była tak ciemna noc, że idąc jeden obok drugiego, nie widzieliśmy się. Koledzy szepotali między sobą, że pozostawiono nas tu chyba po to, byśmy zginęli. To odbierało nam jeszcze bardziej otuchę. Jednak rozkaz trzeba wypełnić. Po upływie może dwu godzin zauważyliśmy, że kozacy nas otaczają i tylko obawiały się uderzyć, gdyż jest ciemno. Więc prawie już okrążeni, jednak wycofaliśmy się jeszcze cało ku okopom do pułku. Tymczasem dowódca pułku pan kpt. Rój rozgniewał się na nas i znów z panem podporucznikiem Poszepczyńskim wysłał nas z powrotem zając opuszczonej wioskę. Poszliśmy, lecz baciuchy już opuścili wioskę.

Na drugi dzień, to jest 17-go października 1920 r. wszyscy szliśmy naprzód przez cały dzień. Pod wieczór znów 13 pp zatrzymał się na obranych stanowiskach, a nasza 5-ta kompania, nie wiem dlaczego, znów otrzymała rozkaz pójść dalej i zając pewną wioskę położoną o 12 km na przodzie, gdzie były wojska sowieckie. Należało nam zając tę

kompanii III batalionu 13 pp., następnie dowódca III batalionu, z którym wstąpił się walkami w bitwie warszawskiej pod Ossowem, a następnie pościgiem za bolszewikami. Odniesiony orderem *Virtuti Militari* V klasy.

<sup>48</sup> KKM - kompania karabinów maszynowych.

wioskę przed godziną 12-tą w nocy, bo o północy z 18 na 19 października zostało ogłoszone zawieszenie broni, więc po północy walk już nie można było prowadzić. Żołnierze w 5-tej kompanii szemrzą na dobre, że chyba dowódca pułku chce nas zgubić w ostatnich godzinach. Wiara już przedtem dowiedziała się o zawieszeniu broni i liczyła dni. Oblicza liśmy, że jak doczekamy 18 października w zdrowiu, to już każdy z nas może być pewny życia i czy prędzej czy później powrócimy do swych rodzinnych stron. Teraz 18 października każdy żołnierz liczy już godziny i minuty. Nasza 5-ta kompania po otrzymaniu tak szalonego rozkazu wzięła po drodze starszka za przewodnika i poszła.

Noc była tak ciemna, że choć oko wykol. Przewodnik prowadził nas po różnych manowcach, po świeżo zaoranej roli, po rowach, brzdach, krzakach i po mokrej łące. Śliśmy bardzo cicho. Cała kompania posuwała się jak nocne duchy. Każdy słyszał bicie swego serca i oddech i sapania kolegi idącego obok. Szliśmy tak z pięć godzin, gotowi w każdej chwili uderzyć na baciuchów. Nareszcie dotarliśmy do wioski. Tu zatrzymaliśmy się, wysyłając szpicę na zwiady, czy w tych domach nie ma baciuchów. Szpicą powróciwszy, oznajmiła, że w tych pierwszych dwu domach nie ma nikogo, ale gospodarz z jednego z tych domów powiedział, że dalej na wsi są i kozacy i piechota nieprzyjacielska. Ponieważ o godzinie 12-tej, to znaczy o północy jest zawieszenie broni, więc już nie obawialiśmy się napadu jutro.

Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, była godzina trzecia po północy. Okna zasłoniłymi płachtami, płaszczami i kocami. Zapalono świecę. Żołnierze pokładli się do snu na podłodze i na górze, a pan ppor. Poszepczyński wziął papier i ołówek i zaczął pisać co następuje: „O godzinie 11 wieczorem 18-go października 1920 r. 5-ta kompania zajęła wioskę taką to. O godzinie 11-tej stał na posterunku szeregowiec ten, o godz. 12 ten, o godz. 1 ten, o godz. 2 ten i o godz. 3 stał naprawdę nasz posterunek, gdyż dopiero o godzinie trzeciej zajęliśmy domy. Robił to widocznie dlatego, by jutro, jeżeli zajdzie potrzeba, pokazać, że słusznie jeszcze przed zawieszeniem broni zajęliśmy to miejsce. Następnie wydał rozkaz posterunkom, że teraz chociaż który i zobaczy bolszewików, to już nie wolno im strzelać do nich. Wolno się tylko bronić i krzywdy sobie nie dać uczynić. Reszta żołnierzy spała spokojnie do rana.

Rano 19 października, pomimo iż każdy był bardzo przemęczony i głodny, to jednak jakiś bardzo wesoły. Po śniadaniu stojąc na posterunku przed bramą, nagle zobaczyłem siedmiu kozaków, wyjeżdżających z olszyny i jadących prosto na naszą kompanię. Mimo woli podniosłem karabin i byłem gotowy do oddania strzału, lecz w tejsze chwili przypomniałem sobie ostatni rozkaz i natychmiast zameldowałem panu ppor. Poszepczyńskiemu. Ten wybiegł z żołnierzami bez karabinów, tylko z bagnetami i wszyscy przyglądaliśmy się jadącym bolszewikom. Byli to sowieccy oficerowie z dowódcą dywizji, którzy w spokojny czas jechali do naszego dowództwa do miasta Lubara, by pogodzić się wspólnie z naszymi. Przejechali swobodnie nic do nas nie mówiąc. O naszej 5-tej kompanii II-

<sup>47</sup> Jan Szewczyk - w lutym 1920 r. dowódca 12

go batalionu dowódca pułku nic nie wiedział, gdyż do tej wioski, do której mieliśmy się udać i zająć ją nie dotarliśmy. Tam byli bolszewicy.

## Po zawieszeniu broni

Dnia 19-go października, to jest w pierwszym dniu wolnym od walki, na skutek zawieszenia broni między Polską a Rosją Sowiecką, kuchnia naszej piątej kompanii, myśląc, że jesteśmy w miejscowości oznaczonej do zajęcia rozkazem dowódcy pułku, pojechała tam i po drodze zajechała do bolszewików. Ci zatrzymali ją, a ponieważ byli głodni, zjedli nasz obiad, kucharza poczęstowali papierosami i kazali mu jechać z powrotem do trzynastki. My byliśmy głodni. Po południu wybrałem się z kilkoma żołnierzami po domach za chlebem. W jednym domu spotkaliśmy 9-ciu bolszewików pijących mleko. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać i ostatecznie poczęstowaliśmy się wzajemnie papierosami. Później ja powróciłem do kompanii, a moich pięciu kolegów udało się z nimi do następnej wioski na wódkę, którą zrabowali z Lubar. Koledzy ugościli się doskonale, wrócili podchmieleni, przynosząc ze sobą 7 butelek wódki, którą otrzymali za jedną parę butów zdobytych w Lubarze. W ogóle stosunek między nami a bolszewikami po zawieszeniu broni był przyjazny. Oni podobnie jak i my byliśmy bardzo radzi, że wojna ustała.

Tymczasem pan kapitan Rój, dowódca pułku, skoro się dowiedział, że nasza 5-ta kompania nie zajęła przed zawieszeniem broni wyznaczonej wioski, rozgniewał się mocno i na trzeci dzień po zawieszeniu broni, to znaczy 21 października rozkazał powtórnie nam iść i zająć wioskę, która leżała za nami już tylko na czwartym kilometrze, a w której stali bolszewicy. Poszło dwa plutony z dowódcą naszej kompanii panem ppor. Poszepczyńskim. Aczkolwiek byłem w drugim plutonie, to jednak nie poszedłem, bo w tym czasie zostałem wysłany przez dowódcę kompanii za łącznika do batalionu. Pozostał też trzeci pluton. Tymczasem, gdy zaszły do oznaczonej wioski oba plutony, bolszewicy mocno się zdziwili ich przybyciem, sądzili, że Polacy gotują im zdradę. Dlatego też bolszewicy zachowali ostrożność, otoczyli z bronią w ręku oba nasze plutony 5-tej kompanii i zażądali, aby się poddały. Dowódca kompanii pan ppor. Poszepczyński, nie widząc innego wyjścia z sytuacji jaka się wytworzyła, rozkazał żołnierzom złożyć w kozły broń i dobrowolnie oddać bagnety z pasami. Wówczas bolszewicy bezbronnych rozegrali do białizny, zapędzili do stodoły, dali im swoje bolszewickie łachmany z robactwem i zamknęli pod strażą. W ten sposób dowódca pułku pan kapitan Rój wywarł swą złość na 5-tej kompanii.

## Po zawieszeniu broni

Następnego dnia sam dowódca pułku z dowódcą batalionu jeździli do bolszewików, prosząc, by wypuścili żołnierzy 5-tej kompanii. Obaj starali się wytłumaczyć bolszewikom, że zaszła tu pomyłka. Tymczasem co innego

mówił dowódca pułku, a co innego dowódca kompanii. W rezultacie tych pertraktacji nieszczęsnej 5-tej kompanii od razu nie wypuszczono z niewoli. Została ona uwolniona dopiero w trzy tygodnie później, kiedy mnie już nie było w kompanii, gdyż jako ochotnik razem z wielu innymi kolegami zostałem zwolniony do cywila, do domu, by wstąpić znowu do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Koedukacyjnego w Pułtusk.

Przy odkomenderowaniu nas z kompanii, a nawet wszystkich z pułku ochotników, zostało zabrane nam nasze umundurowanie, w miejsce którego otrzymaliśmy same łachy, najgorsze jakie zebrali po kompaniach w 13-ce i to nam dali na drogę. Kazali nam iść do odległej stacji Lachowce. W ten sposób pożegnałem 5-tą kompanię na zawsze....

Z 13 pułku piechoty zwolniono wtedy ochotników około stu ludzi. Wracaliśmy piechotą z frontu przez Szepetówkę, Zasław, Kłębówkę<sup>49</sup> aż do stacji w Lachowcach<sup>50</sup>. Czasami poszykowała się nam po drodze furmanka. Szliśmy przez trzy dni. Dziwny to był marsz. Byliśmy podobni raczej do dziadów, niż do żołnierzy, wszystko wędrowało w łachmanach. Wielu nas ochotników wracało na bosaka. Bosaki szli najszybciej. Reszta nie mając własnych butów, dreptała i przykuliwała całą drogę, gdyż szła albo w ciasnych albo za dużych, a zawsze w dziurawych resztkach obuwia.

Sam dostałem i miałem kamasze jakie takie, ale za wielkie, w których ścierałem nogi. Zamiast onuc, miałem jedną karpetkę białą, damską, sięgającą mi za kolana, a drugą ciemną, krótką. Dostałem spodnie z urwaną nogawicą, a w nich i niezłym mundurze było dużo ruchliwej piechoty. To obce robactwo więcej mi dokuczyło przez te ostatnie dni marszu, na kolei i w Cytadeli do czasu zupełnego uwolnienia do cywila (przez dwa tygodnie), niż przez pierwsze trzy miesiące. Ostatecznie całą swoją biedę w podróży okryłem wełnianym dywanem w kwiaty, który zafasowałem w Szepetówce w sklepie żydowskim i tak maszerowałem, a następnie jechałem aż do Cytadeli. Zaraz po opuszczeniu pułku raptem uczuliśmy się wolni, swobodni, weseli. Każdy szedł jak chciał, śpiewał na całej gardło i dokazywał. Chyba najweselsi byli lwowianie. Śpiewaliśmy, a raczej darliśmy się przez całą drogę. Czasami pędziliśmy biegiem, aby dalej, aby prędzej do domu. Z Lachowiec jechaliśmy koleją przez Równó<sup>51</sup> do Lwowa.

We Lwowie zatrzymaliśmy się na jeden dzień. Przez ten czas zwiedziliśmy miasto. Ze Lwowa jechaliśmy przez Lublin, Dęblin<sup>52</sup>, Zajezerze<sup>53</sup> do Warszawy. W Cytadeli oczekiwaliśmy na papiery ewidencyjne około dwóch tygodni, to znaczy czekaliśmy na pełne zwolnienie nas z szeregów wojska polskiego, by w cywilu móc jak najrychlej

<sup>49</sup> Kłębówka - wieś ok. 10 km na zachód od Zaslawia.

<sup>50</sup> Lachowce - miasteczko nad rzeką Horyń, ok. 20 km. od Jampola i ok. 50 od Ostroga.

<sup>51</sup> Równó (Równie) - miasto obwodowe nad rzeką Uście (ok. 240 tys. mieszkańców).

<sup>52</sup> Dęblin - miasto w pow. Ryki, woj. lubelskie.

<sup>53</sup> Zajezerze - wieś w gm. Sieciechów, pow. Kozienice.

zasiąść na ławie szkolnej razem z kolegami i koleżankami. Tymczasem trzymano nas wciąż i pędzono do pracy fizycznej. Wynosiliśmy gruz z koszar, zamiataliśmy sale, zmywali podłogi, w ogóle doprowadzaliśmy do porządku i czystości zniszczone koszary. Taki to odpoczynek czekał nas ochotników powracających z frontu. Ogólnie uważaliśmy tę pracę za ujmę dla siebie. Wszak byliśmy żołnierzami, ochotnikami i wracaliśmy z pola walki, gdzie przez kilka miesięcy wiele nacierpieliśmy się głodu, trudu, niewygód, odnieśli tyle ran i co nas obecnie napawało dumą, że wszystko złe przetrzymaliśmy mężnie.

Czuliśmy się bohaterami wojny polsko-bolszewickiej zakończonej dla nas zwycięstwem. Wreszcie i niemiła robota w Cytadeli skończyła się. Wydano nam papiery i opuściliśmy kochaną Cytadelę, a z nią Warszawę. Po przyjeździe do Pułtusk, zameldowałem się w swoim RKU<sup>54</sup>, gdzie złożyłem to szlachetne, choć bardzo zniszczone umundurowanie wojskowe, ubrałem się we własne cywilne i pożegnałem raz na zawsze służbę wojskową jako ochotnik 1920 r. Mniej więcej w powyższy sposób odbyła się i zakończyła moja wojaczka z bolszewikami w 5-tej kompanii II-go batalionu 13 pułku piechoty w 1920 roku.

Szeregowiec - ochotnik Władysław Kocot, Szczeglin Poduchowny 25.11.1921 r. Uczeń drugiego kursu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Koedukacyjnego w Pułtusk, Władysław Kocot Szczeglin Poduchowny, 17.VIII. 1921 r.

Powyższy mój pamiętnik z wojny polsko-bolszewickiej przepisałem do niniejszej księgi (od strony 19 do strony 76 włącznie) w dniach 25 grudnia 1937 roku do 13 stycznia 1938 roku. Przepisałam ten pamiętnik z arkuszy moich, które w kwietniu 1924 roku wysłałem do Księgi Pamiętkowej Uczniów Ochotników Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Koedukacyjnego w Pułtusk, w której ten pamiętnik się znajduje, z tą różnicą, że pamiętnik w tej księdze jest nieco dokładniejszy i nieco uzupełniony. Zaś oba te pamiętniki w treści swej są jednakowe, bo pisane bezpośrednio na froncie w zeszytach zwykłych, a po powrocie do cywila, przepisane do szkolnego brulionu z datami: Wielki Piątek dnia 25 marca 1921 roku i 17 sierpnia 1921 roku w Szczeglinie Poduchownym, gm. Sypniewo, pow. Maków Mazowiecki.

Uwaga: Odnośnie pamiętnika znajdującego się w Seminarium pułtuskim dodam, że ten jest odczytywany urywkami na ważniejszych zjazdach byłych maturzystów. Przy wysyłaniu pamiętnika swego z wojny 1920 roku do seminarium w Pułtusk zaopatrzyłem go w następujący przypisek:

Powyższe piszę do pamiętnika szkolnego po to, aby było świadectwem, dowodem i wskazówką dla wszystkich seminarzystów pułtuskich przez cały czas istnienia tegoż seminarium, żeby uczniowie wiedzieli cokolwiek o nas, pierwszych maturzystach i maturzystkach, żeby podobnie jak my, jeżeli ządzie potrzeba obrony naszej ukochanej mło-

<sup>54</sup> Rejonowa Komenda Uzupełnień.

dej Ojczyzny, szli ochotnie i z radością w sercu bronić jej granic, żebyśmy byli podniętą dla nich w nauce, pracy publicznej, społecznej oraz w spełnianiu obowiązków względem Ojczyzny. Na koniec, żeby każdy uczeń maturzysta śmiało i z dumą mógł powiedzieć: mam zaszczyt, iż jestem wychowankiem seminarium nauczycielskiego pułtuskiego.

Uwaga: Prosiłbym po przepisaniu o zwrot niniejszego. Władysław Kocot. Chodkowo Żalogi 1 kwiecień 1924 rok.



„Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945”. Pułtusk 2009.

Po wykorzystaniu niniejszego mojego pamiętnika w seminarium otrzymałem ze zwróconymi arkuszami pamiętnika pismo treści następującej.

Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Pułtusku, dnia 22.1.1934 roku. Nr 100. Do Pana Władysława Kocota, nauczyciela w Drażdżewie, pow. Makowskiego.

Zwracając pamiętniki Pana z wojny 1920 roku dyrekcja zaznacza, że zostały one wpisane do książki pamiątkowej uczniów seminarium,



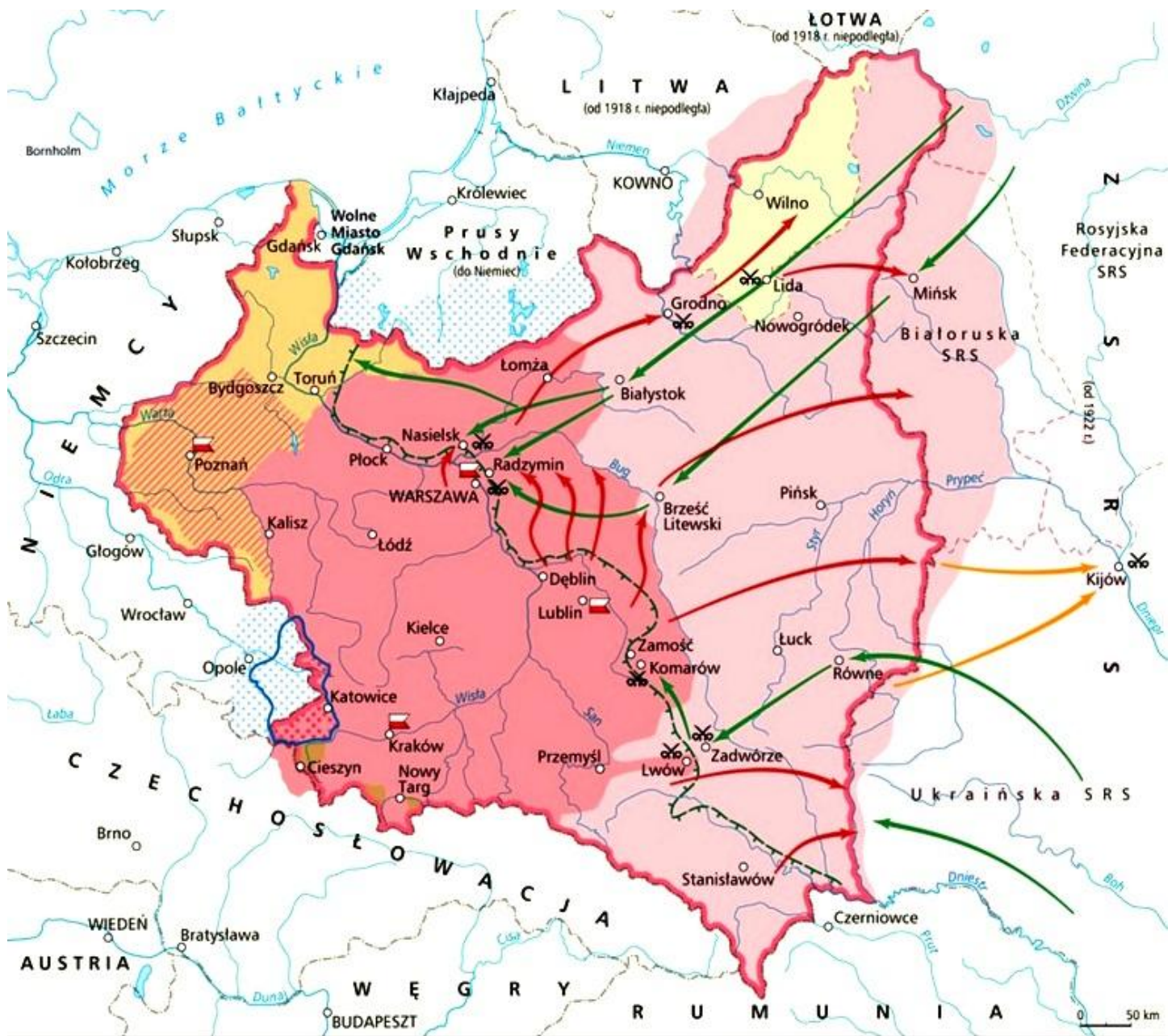
Czerwoarmiści /rekonstrukcja/.

ochotników z 1920 roku i parokrotnie były już odczytywane na uroczystościach całej szkoły i wzbudzały wielkie zainteresowanie z powodu swojej bezpośredniości, prostoty stylu i uczucia je przenikającego, dlatego też stanowią

najcenniejszy dział Księgi ochotników. Pieczęć. Dyrektor Seminarium L. Butrymowicz.



31 sierpnia 1920 roku, pod Komarowem stoczona została bitwa, w wyniku której rozbita została osławiona Konarmia Budionnego. Bitwa komarowska była największą bitwą kawaleryjską wojny polsko-bolszewickiej. Po obu stronach starło się w sumie ok 20.000 konnych.



### Rzeczpospolita Polska w l. 1918–1922

- ziemię wyzwoloną w listopadzie 1918 r.
- pierwsze ośrodki polskich władz państwowych w 1918 r.
- ziemię opanowaną do września 1919 r.
- zasięg powstania wielkopolskiego (XII 1918–II 1919)
- najdalszy zasięg powstań na Górnym Śląsku w l. 1919–1921
- ziemię przyznane Polsce traktatem wersalskim 28 VI 1919 r.
- ziemię opanowaną do maja 1920 r.

- ziemię przyznane Polsce przez Radę Ambasadorów w 1920 r.
- obszar Litwy Środkowej zajęty w 1920 r. i włączony do Polski w 1922 r.
- Obszary plebiscytów w l. 1920–1921, w wyniku których ziemię przyznano
  - Polsce
  - Niemcom
- Wojna polsko-bolszewicka w 1920 r.
  - ważniejsze bitwy
  - wyprawa wojsk polskich do Kijowa (IV–V 1920 r.)

- ofensywa wojsk bolszewickich (IV–V 1920 r.)
- najdalszy zasięg wojsk bolszewickich w sierpniu 1920 r.
- kontrofensywa wojsk polskich (15 VIII–18 X 1920 r.)
- ostateczne granice Rzeczypospolitej Polskiej ustalone do 1922 r.

Ukończyłem przepisywanie swojego pamiętnika z wojny 1920 roku oraz własnego przypisku i pisma dyrekcji seminarium pułtuskiego tu wpisanych w dniu 13 stycznia 1938 roku o godzinie 11-tej za 5 minut

wieczorem. W domu spali już od dłuższego czasu: zona Genowefa - Lucyna, Czarus - Staś lat 8, będący w III-cim oddziale, Danuta - Krystyna lat 5, i Halinka - Janinka lat 3, która w tej chwili zakasłała, bo jest trochę chora.

Natomiast ja czuję się dobrze i podpisuję na zakończenie:

*Nauczyciel Władysław Kocot,  
Drądzewo 13.1.1938 r.*

### Krasnosielcki Zeszyt Historyczny



bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a  
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu

Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com

Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

W publikacji wykorzystano materiały graficzne ogólnodostępne w internecie.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1